









Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Oświaty.

Książeczka IV.

ZA WOLNOŚĆ i LUD!

Opowiadania z lat ~~1861~~ 1864

skreśliła

MARYA WYSŁOUCHOWA.

... idą już nowe
Za lud do walki szczerzy!
Juz lud podnosi schyloną głowę,
Morze zalewa już brzegi!

L W Ó W

Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Oświaty

Z drukarni J. Cegińskiego w Gródku.

1892.

NI



70628

884-94:943.8:

170628

SŁOWO WSTĘPNE.

Piękną jest ta droga ziemia nasza! Jak sięgnąć wzrokiem ścielą się po niej kwieciste łąki, zielone pastwiska, szumią z wiatrem bujne kłosa na żyznych polach, uprawianych silnymi rękami polskich włościan. Łąki, pastwiska, pola przerzynają bystre, głębokie rzeki. Tam i owdzie połyskują srebrne jeziora, niby błyszczące, gładkie lusterka. Wysokie, a w niebo nasze wspaniałe góry, a ciemne lasy, rozbrzmiewające świergotem ptasząt, chwieją poważnie głowami, niby ojcowie, gdy radzą o ważnych sprawach.

Piękną jest ta droga ziemia nasza, na której urodziliśmy się i wzrosli, w której głębiach spią kości naszych ojców, na której żyć i gospodarować będą w najdłuższe lata nasze dzieci.

Bywały czasy, kiedy na tej bogatej, żyznej ziemi kwitła oświata, krzewiły się cnoty, wzrastał dobrobyt; kiedy Polska stała obok potężnych krajów europejskich, jak równa obok równych. Słabsze sąsiednie narody garnęły się wówczas pod jej skrzydła, przyjmowały jej rządy, zwyczaje, tuliły się do piersi Polski, jak młodszy brat tuli się do starszego

pewny, że ten go nie skrzywdzi, lecz — jako mocniejszy — dopomoże, obroni. Bywały bowiem czasy, kiedy piękna ziemia polska rządziła się sprawiedliwiej, posiadała więcej wolności i szczęścia, niż wielu z jej sąsiadów.

Ale później nastąpiły czasy grzechu i ciemnoty, a więc i słabości i upadku. I oto dziś obcy wróg depta ziemię naszą. Dziki Moskal znęca się nad nami, podstępny Niemiec pracuje nad naszą zagładą.

Sto lat mija od czasu, gdy zaczęły się dla narodu naszego męki niewoli. Sto lat mija, jak wrogowie starają się zabić w nas życie, strącić w przepaść ostatecznej zguby.

Nie możemy posiadać takiej oświaty, jak wolne narody, bo Moskal i Niemiec nie pozwalają nam drukować książek o mądrych i sprawiedliwych rzeczach, nie dają pisać prawdy w gazetach, ogłupiają nasze dzieci w szkołach, ucząc źle i fałszywie, w obcym i niezrozumiałym dla nich języku. Nie możemy rozwijać w sobie należycie cnót, właściwych niepodległym narodom, bo Moskal i Niemiec wydzierają nam z serca najświętsze uczucia miłości i poświęcenia dla wolności, dla ojczyzny, zmuszając natomiast do fałszu, kłamstwa, podłego służalstwa, rozbudzając poniżające dla człowieka uczucie strachu w słabszych duszach.

Nie możemy dojść do dobrobytu, bo wrogowie krepują nasz przemysł, odbierają nam zarobek, za-

grabiają sobie naszą krwawicę, wykupują podstępnie rolę.

Nie możemy posiadać tylu wielkich, sławnych mężów, ilebyśmy ich posiadali przy innych warunkach, gdyż najświetlejszą naszą młodzież wrogowie prześladują, wydalając ją ze szkół, goniąc na Sybir lub dręcząc w więzieniach.

Gdyby Polacy opuścili beczynnienie ręce w nie-szczęściu, gdyby się pogodzili z okropnym losem, jaki ich spotkał, możeby już dotąd przez sto lat obcego jarzma, zamarła w sercach naszych miłość wolności, sprawiedliwości, ojczyzny, i dziś podobni bylibyśmy do niewolników, z których natrzęsałyby się inne narody mówiąc: to są ludzie nikkzemniejsi od wielu zwierząt; wszak i pies targa łańcuch, co go więzi, nie liże ręki, która mu wkłada obrozę.

Tak mówionoby o nas i mówionoby słusznie, gdybyśmy w kajdanach spokojnie zasnęli. Ale tak się nie stało i — jako żywo, nie stanie nigdy!

Każde pokolenie poprzednie chwyciło za oręż i biegło do walki. Każde pokolenie odpowiadało na ucisk szczękiem szabel i kos, świadczyło potokami wylanej krwi, że rozumie straszną zbrodnię, popełnioną na naszym narodzie przeciwko wolności. Każde pokolenie choć na chwilę zrzuciło ohydne jarzmo. W krwawych bojach o sprawiedliwość i ojczyznę rozpłomieniały się nasze serca miłością ku wolności, rozbudzało się w nich coraz goręcej pragnienie, aby miliony wiejskiego ludu miały równe

prawa z innymi stanami, aby powróconą im została ziemia, niegdyś wydartą. W krwawych bojach męźniała pierś nasza, rozjaśniał się umysł.

Każda też z następnych walk trwa dłużej od poprzedniej, gdyż szersze koła biorą w niej udział. W każdej z następnych walk występują szlachetniejsi, więksi bohaterowie, a serca ich płoną coraz gorętszą miłością dla ludu i coraz śmieiej — idąc w bój i na męki, podnoszą oni głos w obronie praw ludzkich i narodowych.

O jednej z tych walk, o tej mianowicie, która zawrzała w r. 1863 na całej ziemi polskiej, jak długa i szeroka, znajdziemy krótkie opowiadanie w tej oto książeczce. Przeczytajmy ja uważnie, bracia mili. Wszak znać nam potrzeba imiona i czyny ludzi, którzy poświęcili życie dla naszego dobra. Wszak czcic powinniśmy pamięć bohaterów, którzy naród budzili do życia i poświęceń wspa-
niałą pieśnią bojową:

Do broni ludu! powstańmy wraz
I bratnią sobie podajmy dłoń;
Zetrzeć tyranów już nadszedł czas,
Wieńcem wolności uwieńczmy skroń,
Hasłem do boju: Wolność i lud!

I.

POLACY SKŁADAJĄ HOŁD PAMIĘCI POLEGŁYCH ZA WOLNOŚĆ BRACI, A ŹLE PRZYJMUJĄ CARA W WARSZAWIE.

Jak różowa jutrzienka poprzedza ukazanie się słońca, a świeże powiewy wiatru i szczybiot ptasząt zapowiadają jasność dnia — podobnie i w Polsce na lat kilka przed rozbłyśnięciem krwawego słońca walki świtać zaczęły jasne myśli, zbudziły się potężne, wielkie uczucia.

I znowu serca polskie uderzyły silniej miłością dla ojczyzny, a nienawiścią dla haniebnego jarzma niewoli. I znowu coraz więcej było takich, którym oczy błyskały gniewem, a pięść groźnie się zaciskała. Coraz więcej było takich, którzy nie chcieli znosić dłużej krzywdy w milczeniu, bo rozumieli, że im kto lękliwszy, im mniej się broni, tem gorzej go uciskają. Uczucia wzbierały stopniowo w sercach ludzkich, niby górskie potoki na wiosnę.

I jak potoki pędzą wartko w dolinę z płaczem i śmiechem srebrnych fal, nie bacząc na

spotykane po drodze przeszkody, tak i uczucia wybuchwały na zewnątrz, objawiały się przed całym światem.

Jednym z pierwszych głośniejszych ich objawów było złożenie hołdu pamięci wielkich poetów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Cudnymi pieśniami swymi poeci owi rozpalali duszę narodu, uczyli go kochać prawdę, piękno, dobro. Dla tych to właśnie powodów rząd moskiewski wzbraniał wymawiać nawet ich imiona. Ale na hasło, dane przez młodzież, uczącą się na lekarzy w wyższej szkole czyli akademii, pośpieszyły liczne tłumy na żałobne nabożeństwo do kościoła św. Jana, aby dać dowód, że ucisk nie wyziębił im serca, nie osłabił pamięci.

Zwierzchność akademicka ukarała wydaleniem przewodców młodzieży: Kurzynę i Jaśniewskiego, ale to nie zastraszyło innych, przeciwnie zachęciło ich do tem gorliwszej pracy. Potajemne stowarzyszenie młodzieży, zwane „Kółkiem akademickim“, stawało się z każdym dniem liczniejsze, obok niego powstały także inne, jak naprzykład kółko, związane przez Edwarda Jurgensa, człowieka wielkiej energii i rozumu, oraz kółko, na którego czele stał Jankowski, a do którego należeli kupcy, literaci, urzędnicy i duchowieństwo. Zamożna szlachta skupiła się w jawnem To-

warzystwie rolniczym. Prezesem tego towarzystwa był zacny Andrzej Zamojski, szanowany i kochany przez cały naród. Towarzystwo rolnicze pracowało nad polepszeniem gospodarki rolnej w kraju, nad podniesieniem dobrobytu włościan, nad krzewieniem wśród ludu oświaty, zakładając w tym celu liczne szkoły po wsiach.

Mieszkańcom Warszawy nadarzyła się wkrótce znowu sposobność wyrażenia jawnie uczuć, które przepelniały ich serca.

W czerwcu 1860 r. zmarła wdowa po generale Sowińskim, który w powstaniu 1830 r. mężnie walczył w obronie ojczyzny i zginął śmiercią walecznych na przedmieściu warszawskim Woli, przeszyty u stóp ołtarza kulami wrogów.

Naród nie zapomina nigdy o bohaterach, co krew przelewali za jego wolność, pamięć ich otacza po najdłuższe czasy miłością i uwielbieniem. Kiedy zmarła wdowa po Sowińskim, tysiące ludu poszły za jej pogrzebem.

Młodzież ze czcią niosła na swych barkach trumnę, okrytą wieńcami, aż na cmentarz, za miasto, a stamtąd udała się tłumnie na Wolę, gdzie zginął Sowiński, aby złożyć hołd jego pamięci, aby zaświadczyć przed Moskwą i całym światem, że i ona gotowa ró-

wnieź ponieść śmierć za wolność ojczyzny, jak Sowiński, któremu cześć oddawała.

Skoro wielka miłość rozпали się w sercach, wnet i nienawiść łatwiej budzić się w nich zaczyna. Zrozumieć łatwo, dla czego tak bywa. Im silniej, naprzykład, matka kocha swoje dziecko, tem gwałtowniej nienawidzić będzie tyrana, który dręczy to dziecko ukochane. Im silniej jakiś człowiek kocha wolność, im goręcej pragnie, aby wszyscy ludzie byli równi, oświeceni, szczęśliwi, tem głębszą będzie jego pogarda i nienawiść dla tyrana, co bliźnich trzyma w ciemnocie i upodleniu, tuczy się ich krwią i łzami.

Więc i w sercach Polaków, obok miłości dla ojczystej ziemi — wzrastała nienawiść dla wrogów, dla carów, którzy ją uciskali, którzy milionom ludu odmawiali praw ludzkich, trzymali je w nędzy, ciemnocie, nieszczęściu.

Kiedy więc w kilka miesięcy po pogrzebie Sowińskiej car moskiewski przyjechał do Warszawy, aby tam spotkać się z cesarzem austriackim i królem pruskim, mieszkańcy tego miasta przyjęli niezbyt uprzejmie, nieproszonych gości. Lud spalił bramę, ozdobioną kwiatami, przez którą car miał wjeżdżać do miasta. W teatrze, dokąd poszedł wieczorem, aby się zabawić, rozlano cuchnący płyn, zwany asafetydą, a błyszczące od pozłocień, a-

ksamitne siedzenie carskie obryzgano błotem. Na ulicach, po których car przejeżdżał, pusto było, jak gdyby morowe powietrze po nich przeszło. Nikt nie szedł patrzeć na piękne światła, pozapalane po ogrodach na cześć tyrana-despoty. Miasto milczące było jak grób i jak grób ponure.

Na gości carskich lud spoglądał również niechętnem okiem, pamiętając, że każdy z nich trzymał część rozdartej Polski.

Trzeba pamiętać, że car moskiewski rządzi w podległych sobie ziemiach samowolnie, nie pytając wcale, jak to ma miejsce w innych państwach, wybranych przez kraj posłów o potrzeby i żądania ludu. Sam przy pomocy służalczych doradców układa i wydaje surowe prawa, które utrzymują lud w nędzy, ciemnocie, krzywdzie. Na jego więc sumienie spadają grzechy i nieszczęścia, wypływające z takiego porządku rzeczy. Szlachetniejsi Rosyane uważają również swego cara za tyrana i okrutnika, ale nieszczęśliwy naród moskiewski pozostawał przez wiele dziesiątków lat pod jarzmem barbarzyńskich Mongołów, a później dławiła go żelazna ręka carów, nie mógł więc rozwinąć w sobie takiego zamiłowania do swobody, takiego poczucia godności narodowej, jakie posiadali Polacy, i dla tego też znosi dotąd despotyczne rządy, nieistniejące już w żadnym cywilizowa-

nym kraju. Polacy nawykli do walki z despotyzmem, lud przeto warszawski stanął przed potężnym carem nie jak tchórzliwy niewolnik, lecz jak odważny, szanujący siebie człowiek i cisnął mu w twarz wzgardę, na jaką zasłużył.

Życie budziło się coraz silniej we wszystkich częściach rozdartej Polski. W Galicyi i Księstwie Poznańskim domagano się głośno praw narodowych, wybierano do sejmu polskich posłów, pisano w gazetach, co trzeba robić, do czego dążyć, aby nam lepiej było, a nawet w wiedeńskiej radzie państwa Franciszek Smolka wygłaszał ogniste mowy w obronie uciśnionej ojczyzny. W Królestwie Polskiem, pod zaborem moskiewskim nie wolno było ani dopominać się o prawa, ani przemawiać publicznie ani pisać. Tam więc lud po miastach urządzał procesye, śpiewy, obchody pamiątek narodowych, aby coraz szersze koła dowiadywały się o co chodzi, aby cały naród upomniał się o polepszenie ciężkiej doli, rozgorzał miłością dla wolności i ojczyzny.

Dnia 29 listopada, w rocznicę powstania z r. 1831, w rocznicę tego wieczora, kiedy Warszawę budziła ze snu garstka walecznych wołaniem: „Do broni! Śmierć tyranowi!“ odbyło się w kościele Karmelickim przy ulicy Leszno nabożeństwo za poległych w walce o wolność, a lud śpiewał z głębokiem przejęciem: „Od

powietrza, głodu, ognia i niewoli wybaw nas Panie!“

Wieczorem zgromadziły się znowu liczne tłumy na ulicy przed kościołem i padłszy na kolana, śpiewały: „Przed twe ołtarze zanosim błagania, ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“ Pieśń płynęła tęskna, rzewna, niby jęk, niby skarga. Nagle nuta zmieniła się na silną, bojową, pełną nadziei: z tysiąca piersi buchnął śpiew, wzbraniany przez Moskali, niesłyszany od lat trzydziestu: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Młodzież rozdawała na pamiątkę obchodu pieśni drukowane, wizerunki Kościuszki, kochanego wodza w wiejskiej sukmanie oraz szewca i pułkownika Kilińskiego, co to „wyprawił Moskalom weselisko krwawe“. Miłość ojczyzny, żal nad jej niedolą podnosiła i uczniała serca. Wszyscy czuli się równymi sobie, dziećmi jednej ziemi. Ludzie ciężkiej pracy, ludzie od hebla, kielni i młota bratali się z uczącą się w wyższych szkołach młodzieżą, przysięgali wspólnie pracować, aby cały kraj był wolny i szczęśliwy.

II.

MĘCZEŃSTWO LUDU WARSZAWSKIEGO ZA WOLNOŚĆ.

Ludzie gorącego serca, jasnego rozumu nie ustawiali w pracy dla dobra kraju. Wiedzieli

oni, że skoro wszyscy, cały naród zapragnie być wolnym, wówczas żadna siła nie utrzyma go w kajdanach. Zaczęli więc oświecać mniej wiedzących, budzić ospalszych, wskrzeszać uczucia w obojętniejszych sercach. W Warszawie i we wszystkich większych miastach zgromadzano się po kilku, kilkunastu, naradzano się, co robić dalej, wydawano odezwy, pisemka. A działało się to wszystko pokryjому, w głębokiej tajemnicy, bo w kraju był wróg, co każdą sprawiedliwszą myśl prześladował, za każde gorętsze uczucie więził.

Do tej pracy tajemnej, do tej zmowy należała przeważnie młodzież, rzemieślnicy, mieszczanie, kobiety.

Młodzież tak sobie myślała: najprzód rozwijać będziemy w coraz szerszych kołach prawdziwe pojęcia o sprawiedliwości, zamiłowanie wolności i równości. A gdy liczba ludzi, tak jak my myślących, wzrośnie, zażądamy przede wszystkim zniesienia pańszczyzny, oddania ziemi włościanom, jako ich odwiecznej własności. Skoro nastąpi taka zmiana w stosunkach społecznych, siły narodu wzrosną do olbrzymiej potęgi. Miliony siermiężnego ludu staną w obronie swojej ziemi, swojej ojcowizny, a przed tą mocą nie ostoi się żadna siła. Wymieciemy z Polski wrogów, niby kupę plew. Kraj

będzie wolny, będzie rządził się sprawiedliwie, zniknie w nim nędza, ciemnota.

Piękne to były plany, warto było dla ich urzeczywistnienia życie, młodość, własne szczęście poświęcić!

Sprawiedliwe myśli nie należały do rzeczy nowych w Polsce. Mieliśmy i dawniej takich ludzi, co uwłaszczenia i podniesienia ludu pragnęli. Nie mogli oni głośno o tem mówić i pisać, nie mogli innych pozyskiwać dla swoich zamiarów, bo wróg, gospodarujący w rozdartym kraju, przeszkadzał wszystkiemu, co mogło uczynić Polskę silną i potężną.

Kiedy po powstaniu listopadowem z r. 1831 wielu Polaków wyjechało z kraju, aby nie podlegać woli carskiej i na obczyźnie pracować z całą swobodą dla dobra narodu, zawiązali owi wychodźcy Towarzystwo Demokratyczne, do którego w krótkim czasie przystąpiło kilka tysięcy osób. Sama nazwa Towarzystwa wskazuje, jakie ono miało cele, demokratą bowiem nazywają człowieka, który w ludzie, jako najliczniejszej klasie, widzi główną potęgę narodu, szczęścia ludu pragnie przede wszystkim i dąży do tego, aby lud brał jak najszerszy udział w rządach państwa, aby układał sam prawa sprawiedliwe dla siebie. Towarzystwo Demokratyczne polskie wyraziło mądre i sprawiedliwe swoje myśli w odezwie czyli manifeście, w którym powiada,

że pragnie równości dla wszystkich mieszkańców kraju, bo taki porządek rzeczy, przy którym jedni posiadają wszystkie korzyści, a drudzy wszystkie ciężary, stał się jedyną przyczyną nieszczęść zarówno Polski, jak i innych narodów. Jeżeli więc narody chcą być potężne i sprawiedliwe, to powinny rządzić się takimi prawami, aby nikt nędzy i ucisku nie doznawał, aby każdy mógł posiadać oświatę i wszystko, co mu do szczęścia potrzebne. A takie prawa wówczas nastaną, kiedy stanowiąc je będzie nie klasa uprzywilejowana, co o sobie przedewszystkiem myśli, ale sam lud dla samego siebie. Hasłem przeto Towarzystwa Demokratycznego było: Wszystko przez lud dla ludu.

Głos Towarzystwa Demokratycznego znalazł posłuch w kraju. Po całej polskiej ziemi zaczęli ludzie zmawiać się ze sobą potajemnie i zawiązywać towarzystwa. Dla ludu pracować pragnęli oni przez lud, osiadali więc w wioskach, pracowali wspólnie z włościanami, przywdziewali włościańskie stroje, aby tem wyrazić, że serce ich krwawi się na myśl o długiej krzywdzie i poniżeniu ludu, że odtąd pragną zupełnego z nim braterstwa, zupełnej równości, nie chcą różnić się nawet ubraniem.

Praca ich jednak rychło została przerwana. Moskale i Niemcy dowiedzieli się o tajemnych zмовach, przewodców ukarali śmiercią na szu-

bienicach, innych pozamykali w więzieniach, powysyłali na Sybir. I znowu cisza, martwota i przygnębienie zapanowały w kraju, ale nie na długo, nie na zawsze! Wielkie, sprawiedliwe myśli nie umierają na szubienicach, nie gasną w ciemnych lochach więziennych. Na miejsce zamordowanych znaleźli się nowi pracownicy, którzy z takim samym zapałem, wiarą, miłością poświęcili życie ojczyźnie i sprawie ludowej.

* * *

W końcu lutego 1861 r. zjechała licznie do Warszawy zamożna szlachta na doroczne zgromadzenie członków Towarzystwa rolniczego, które miało na celu — jak wiemy — pracę nad podniesieniem dobrobytu w kraju.

Zjazdu tego wyczekiwano z niecierpliwością. Na Towarzystwo rolnicze zwróciły się oczy całego kraju. Ogólną była nadzieja, że widząc, co się dzieje w ojczyźnie, uchwali ono i ogłosi natychmiast — wbrew woli cara — uwłaszczenie włościan, że w imieniu całego narodu upomni się o sprawiedliwsze prawa, o wznowienie zamkniętych przez cara uniwersytetów, o wykłady w polskim języku po szkołach, oraz inne pożyteczne instytucje.

Młodzież rozmaitych uniwersytetów wysłała do Warszawy deputację, aby ta przedstawiła Towarzystwu rolniczemu, czego oczę-

kuje od niego naród, jako od jedyne go zbiorowego ciała pod zaborem moskiewskim, jako od grona ludzi, trzymających w swych rękach całe niemal bogactwo kraju, mających głos, powagę, znaczenie oraz prawo przemawiania w imieniu ogółu.

Towarzystwo rolnicze zawiodło, niestety, pokładane w niem nadzieje. Komitet jego składał się z ludzi ostrożnych, bojaźliwych, spokojnych, pragnących dążyć do zmian drogą powolną a długą. Nie odważyli się też oni żądać od cara większych praw, nie zdobyli się na uwłaszczenie włościan, uchwalając jedynie zamianę pańszczyzny na czynsz. A chociaż przeciwko takiej uchwale podniosły się liczne głosy gorętszych, postępowszych członków, którzy domagali się natychmiastowego uwłaszczenia, widząc w tem już nietylko zadosyćuczynienie sprawiedliwości, ale zbawienie Polski, nie wpłynęło to na postanowienie komitetu.

Stronnictwo, pracujące dla wolności Polski, przekonało się raz jeszcze, że pyszni magnaci nie zdobędą się nigdy na ofiary dla ojczyzny, że nie oni ją wskrzeszą pracą, łzami, krwią, odwróciło się więc od nich i objawiało w dalszym ciągu jawnie, tłumnie, publicznie uczucia, przejmujące naród. Publiczne objawy uczuć, ożywiających szerokie koła, nazywają się zwykle manifestacyami i my więc tak je nazywać bę-

dziemy. Ruch manifestacyjny ogarnął ludność wszystkich miast i miasteczek, przybierał rozmiary coraz szersze, wspanialsze. Wszystkie bez wyjątku stany miejskie, wszelkie stowarzyszenia, cechy, towarzystwa, spółki brały udział w wielkich manifestacjach, urządzając obok tamtych pomniejsze na własną rękę.

W samej Warszawie pięćdziesiąt kilka towarzystw i spółek odprawiało nabożeństwa za pomyślność ojczyzny pod ostrzem bagnatów, wobec przygotowanych do strzału armat.

Wyrażali w ten sposób miłość swą dla ojczyzny, wzywając lud do manifestacyj, nawet druciarze, kamerdynerzy, panienki, szyjące suknie damskie; dzieci, roznoszące plakaty i afisze; spółka przewoźników przez Wisłę; przekupki, sprzedające owoce za Żelazną Bramą; fornale i piwowarzy, rozwożący trunki po mieście; baby, sprzedające kaszę; wychowawice wyższych i niższych pensyj żeńskich; rybacy; ubogie wdowy i t. d.

Jedną z najwspanialszych manifestacyj urządzono w dniu 25. lutego, jako w rocznicę zwycięstwa nad Moskwą powstańców polskich z roku 1831.

Od samego rana panował niezwykły ruch w mieście, a nad wieczorem tłumy czeladzi rzemieślniczej, młodzieży, mieszczan, kobiet zalały ulice Starego miasta.

Po nad tłumami powiewały chorągwie narodowe: czerwona z białym orłem polskim, którą niósł szewc Paradowski i dwie inne z herbem Litwy, wyobrażającym rycerza na pędzącym koniu. Młodzież niosła w ręku płonące pochodnie na znak, że światła pragnie, niosła krzyże, godła męczeństwa, na znak, że naród polski gotów iść na męki, aby zdobyć sobie należne prawa.

Chorągwie narodowe, co powiewały niegdyś w sławnych bojach nad wojskiem Jagielonów, Sobieskich, Kościuszków, naród powitał okrzykami radości, z piersi tłumu buchnęła potężna, pełna zapału pieśń za ojczyznę. Lud popłynął szeroką rzeką do pałacu, gdzie Towarzystwo rolnicze radziło o sprawie włościańskiej.

Wspaniałym był widok ludu, który nie uląkł się skierowanych ku bezbronnej swej piersi bagnatów, lecz stanął, jak jeden mąż, aby domagać się sprawiedliwości, aby porwać swym zapałem zimnych samolubów.

Wspaniały ów widok, zmienił się wkrótce w scenę pełną grozy. Wojsko moskiewskie uderzyło na tłum, który miał tylko chorągwie, krzyże, pochodnie ku swojej obronie.

Wszczęła się nierówna walka. Lud, choć bezbronny — nie ustępował. Konni żandarmi popychali, płazowali mieczami, rąbali, tratowali

starców, kobiety, dzieci. Policjanci chwyтали młodzież, ciągnęli ją do więzienia. Lud, nieulekniony, walczył. Małe nawet chłopaki ścierały się mężnie z żandarmami, a kobiety cisnęły z okien na głowy siepaczy kociołki z wrzącą wodą.

Rozpłynęły się w końcu groźne tłumy do domów, unosząc ze sobą rannych, z których wielu zmarło w ciągu tej samej jeszcze nocy, lecz śmierć ich nie była nadaremna; krwią przelaną powiedzieli oni światu, że naród polski wstrząsł kajdanami, że nie chce być dłużej pokornym, milczącym niewolnikiem.

We dwa dni później, to jest 27. lutego krwawsza jeszcze scena miała miejsce na ulicach Warszawy. Dnia tego Towarzystwo rolnicze odbywało ostatnią naradę. Zgromadziły się znowu olbrzymie tłumy, gdy nagle wojsko — na rozkaz moskiewskiego generała — posunęło się szturmowym krokiem ku bezbronnym i dało ognia.

Poląła się krew, jęk wyrwał się z piersi ludu, padło pięć trupów...

Lud i teraz nie rozproszył się przed mordczymi kulami. Jedni ratowali rannych, inni podnieśli wysoko sine, sztywniejące trupy, niby krwawą chorągiew, aby wszystkim pokazać, że na ziemi polskiej dzieją się gwałty, że naród gotów jest na śmierć męczeńską za prawdę.

Martwe ciała złożono w gmachu publicznym, a strzegli takowych nie bracia, nie rodzice, strzegł naród, który uznał w zamordowanych braci swych i synów. Zbierano codziennie po kilka tysięcy z drobnych składek na pomnik dla poległych, na wsparcie dla ich rodzin. Ubogi rzemieślnik odmawiał sobie chleba, żebrak oddawał grosz wyżebrany, kobiety ofiarowywały najdroższe pamiątki, aby okazać cześć dla męczenników.

Pełnomocnik carski, namiestnik Gorczakow, upokorzony popełnioną zbrodnią, zgodził się, aby w mieście rządziła wybrana przez mieszkańców Delegacya, aby porządku pilnowała młodzież, aby pogrzeb zamordowanych odbył się z całą uroczystością, jakiej pragnął naród.

W dzień pogrzebu całe miasto okryło się kirem żałobnym, wszyscy mieszkańcy w czarnych szatach postępowali smutnym, poważnym tłumem za pięciu trumnami, na których spoczywały korony cierniowe, jako znak męczeństwa i palmy, jako znak tryumfu. Ludzie rozmaitych wyznań, stanów i wykształcenia bratali się ze sobą we wspólnej miłości dla ojczyzny.

Po wielu latach niewoli i ucisku Warszawa pod rządami Delegacyi miejskiej odetchnęła swobodniej choć na chwilę. A z przebłytkiem wolności zapanowały w stosunkach wzajemnych mieszkańców miłość, zgoda, braterstwo. Serca wszystkich były troską nie o własną pomyśl-

ność, lecz o pomyślność całego narodu, pragnęły nie osobistego szczęścia, lecz szczęścia ojczyzny.

Niedługo wszakże trwały jaśniejsze chwile. Car przysłał do swego pełnomocnika rozkaz, aby dawny porządek przywrócić. Rozwiązano Delegacyę, zniesiono Towarzystwo rolnicze, a dnia 8. kwietnia wojsko natarło znowu na tłumy bezbronne. Lud stał niewzruszonym murem i odsłaniając pierś, wołał: „strzelajcie! lepsza śmierć, niż niewola!“

Rozpoczęło się okrutne morderstwo. Widok jego zgrozą przejmował serca zacniejszych Moskali, a jeden z młodych rosyjskich oficerów imieniem Potapow, złamał swą szpadę i odrzucił ją z pogardą na znak, że nie chce plamić się tak dzikim okrucieństwem. Car kazał za to Potapowa ukarać śmiercią przez rozstrzelanie. Pijane wojsko strzelało tymczasem, rąbało pałaszami, roztrzaskiwało głowy rannych o kamienie. Lały się potoki krwi. Lud w pogardzie śmierci nie bronił się, pragnął umierać za ojczyznę. Dzieci nawet konały z okrzykiem: Niech żyje Polska! A gdy z porąbanych rąk kapłana wysunął się krzyż, pochwycił takowy żyd imieniem Lande, podniósł wysoko znak męki nad męczonym ludem i trzymał go, dopóki sam nie padł pod razami.

Rzeź trwała dwie godziny. Jedni histo-

rycy piszą, że zamordowano 500 osób, inni, że 830.

Krwawe okrucieństwa, jakie miały miejsce w Warszawie, powtórzyły się i w innych miastach, jak: w Wilnie, Mławie, Lublinie.

III.

NARÓD POLSKI PRZYGOTOWUJE SIĘ DO WALKI ORĘŻNEJ.

Od dnia pogrzebu pierwszych męczenników, zamordowanych na ulicach Warszawy ustały po miastach zabawy i widowiska; wszyscy mieszkańcy ziemi polskiej przywdzieli czarne ubrania, aby tą żałobą okazać, że czują nieszczęście Polski, że rozumieją jej poniżenie i niewolę. Nawet małe dziewczynki ubierały swe lalki w czarne, smutne sukienki.

Żałobę, której żadne gwałty wroga nie potrafiły zedrzyć, naród zrzucił sam w uroczystych dniach pamiątek narodowych. W całym kraju obchodzono radośnie 12 sierpnia rocznicę ostatecznego połączenia się Litwy z Polską, a 10 września połączenia się Rusi z Polską.

Ślicznie wyglądały miasta nasze w tych dniach pamiątkowych! Ulice jaśniały tysiącem różnobarwnych świateł. Krążyły po nich tłumy wesole, radośne, strojne w jasne, barwne suknie. Moskwa nie mogła wzbronić tych obja-

wów radości, bo wola setek tysięcy posiada potęgę, której złamać nie zdoła żadna przemoc.

Po raz ostatni lud warszawski manifestował, t. j. objawiał tłumnie i publicznie swoje uczucia 15 października w rocznicę śmierci Kościuszki, ukochanego naczelnika chłopskiego wojska, który to „blaskiem kosy wzbił swe imię pod niebiosy!”

Wojsko moskiewskie otoczyło kościoły, w których lud zgromadził się był na modlitwę. A gdy do późnej nocy nikt z nich nie wychodził, żołnierze wysadzili drzwi, a wówczas taki widok przedstawił się ich oczom:

Lud klęczał milczący, żałobny, nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w gorejącym ołtarzu. Wspaniały katafalk błyszczał i promieniał od mnóstwa jarzących świateł. Całą świątynię napełniały blaski i cisza. Żołnierze zaczęli brać ludzi i odprowadzać do więzienia. Jedni dawali się wzięć bez żadnego oporu; drudzy walczyli z żołnierzami; gdzieniegdzie przychodziło do żwawych utarczek.

Uwięzienie kilku tysięcy ludzi, wywołało straszliwe wzburzenie w mieście. Naród zrozumiał, że męczeństwem biernem nie zbawi ojczyzny. Ustały śpiewy, procesyje, manifestacje. Polacy zaczęli przygotowywać się do powstania, do zbrojnej walki.

Jawnie i głośno nie można było działać.

Rozpoczęła się więc praca tajemna. Komitety, które i dawniej już istniały po rozmaitych miejscowościach, jeły się porozumiewać ze sobą i łączyć, aby wspólnie pracować, aby całą Polskę opasać niby siecią. Komitet warszawski przewodził nad innymi, dla tego też dano mu nazwę Komitetu Centralnego czyli głównego. Komitet warszawski wydawał nawet potajemną gazetkę, w której wskazywał, co i jak robić trzeba, wyrażał zacne uczucia, mądre myśli, ożywiające stronnictwo ludowe. Oto co pisała między innymi owa gazetka: „Z powstaniem Polski“ — to jest wówczas gdy odzyskamy niepodległość — „jest jeden równy, wolny stan w narodzie. Nie ma przywilejów, nie ma klas, nie ma różnicy wyznań, wszyscy są wolni i równi!“

Ludzie, którzy łączyli się ze sobą, aby przeprowadzić zmianę na korzyść włościan, to jest nadać ziemię i prawa ludowi i przy jego pomocy zrzucić ohydne jarzmo moskiewskie, nazywano stronnictwem ruchu, albo też stronnictwem „Czerwonych“. Magnaci i część szlachty, która z nimi trzymała, utworzyli osobne stronnictwo, które się nazywało stronnictwem „Białych“. „Biali“ tak sobie rozumowali: nie trzeba walki z Moskwą, nie trzeba krwi i ofiar. Pracujmy spokojnie nad podniesieniem dobrobytu i oświaty w kraju. Przedstawiamy w najgorszym

razie carowi nasze potrzeby i żądania w pokornej formie, a z czasem uzyskamy większe prawa i swobody. Niemądre to były rozmowy! Jeżeli naród nie może dla siebie praw stanowić, jeżeli krępują go więzy, pozbawiające wszelkiej swobody, a wroga, obca potęga wysila się, aby te więzy zacieśnić, nie ma tam miejsca dla spokojnej pracy nad podniesieniem dobrobytu i oświaty w kraju. Wiele narodów podobnie jak Polska, znajdowało się w niewoli, pod obcem jarzmem, ale żaden wolności nie wyżebrał. Nie pokorą — lecz krwią i żelazem zdobywa się niepodległość!

Stronnictwo „białych“ było nieliczne, ale należeli do niego ludzie, którzy posiadali całe niemal bogactwo kraju. Nie biorąc żadnego udziału w przygotowaniach do walki z wrogiem, przeszkadzając owszem gdzie i jak tylko mogli „czerwonym“, wyrządzili oni straszną krzywdę ojczyźnie, splamili się ciężką winą. Kiedy bowiem wybuchło powstanie, nie było dostatecznego zapasu broni i pieniędzy do prowadzenia wojny.

A powstanie wybuchło niespodzianie, wybuchło daleko wcześniej, niż tego pragnęło stronnictwo, które przygotowywało kraj do walki orężnej.

Car moskiewski dał wielką władzę w Polsce wyrodnemu magnatowi Wielopolskiemu,

uczynił go ministrem, aby tylko stłumił życie, budzące się w Polsce, aby nagiął naród do obroży niewolniczej, do posłuszeństwa. Pyszny Wielopolski służył wiernie carowi, walcząc z własnym narodem. Trudna to była walka. Cała Polska młoda i płomienna wyprężyła ramiona, aby zerwać pęta. Wówczas chytry panek wpadł na szatański pomysł. Doradził rządowi, aby przewódców ruchu, tych co najgoręcej kochali wolność i ojczyznę, wziąć do wojska, zapędzić w głąb Rosyi, w dalekie zimne kraje, aby tam marli z chorób i tęsknoty. Skoro tych najlepszych, najgorętszych nie stanie — myślał margrabia Wielopolski — znowu cicho i martwo będzie w Polsce.

Rząd moskiewski skwapliwie usłuchał rady Wielopolskiego i postanowił porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych obrońców Polski.

Pobór do wojsk moskiewskich był zawsze wielkiem nieszczęściem dla naszego kraju. Najsilniejszych, najpotrzebniejszych w domu ludzi pędzono o setki mil na lat dwadzieścia kilka. Marli owi biedacy w obcych stronach z nędzy, złego obchodzenia się i zimnego klimatu, do którego nie byli przyzwyczajeni. A skoro i powrócił który, niewielka była z niego pociecha, bo i siły miał stargane i serce i obyczaje zepsute, niby jaki odmieniec.

Pobór do wojska był więc zawsze wielką klęską dla nas, ale w styczniu 1863 r. większą, niż kiedykolwiek. Chwytano nie oglądając się na żadne prawo ani sprawiedliwość wszystkich, którzy brali udział w manifestacjach, w śpiewach, procesjach, których posądzano o tajemną pracę dla wolności ojczyzny. Polacy wpadali do domów, przy pomocy żołnierzy zabierali wyznaczonych, wiązali im ręce, odprowadzali do fortecy.

Rozpacz ogarnęła tysiące serc. Młodzież uciekała od straszego poboru do lasów, łącząc się tam w oddziały, aby bronić się przed Moskwą. Walka się rozpoczęła. Komitet centralny warszawski przybrał nazwę Rządu Narodowego, posłał broń i dowódców kryjącym się po lasach i wydał odezwę czyli manifest do narodu, wzywając go do broni.

IV.

JAKIE ROZPORZĄDZENIE OGŁOSIŁ RZĄD NARODOWY POLSKI,
SKORO TYLKO WŁADZĘ UJĄŁ W SWE RĘCE.

Rząd narodowy, wzywając naród polski, aby powstającej ojczyźnie oddał „bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie“, tak mówi dalej w swym manifestie: „W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierw-

szej chwili rozpoczęcia świętej walki, Rząd Narodowy ogłasza wszystkim synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem; właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszy państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju lub — w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały — rodziny ich otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi“.

Naród polski usłuchał głosu swego Rządu. Powstańcy, wymykając się czujności wojsk i policyi moskiewskiej, śpieszyli bocznymi ścieżkami do lasów, do obozów, aby walczyć i ginąć za wolność i lud!

Walką oraz wszystkimi ważniejszymi sprawami kraju kierował przez kilkanaście miesięcy Rząd Narodowy. Działał on w tajemnicy, bo kraj zalewała armia nieprzyjacielska. Rozkazy i odezwy Rządu nie były nigdy podpisane żadnym nazwiskiem. Wyciskano na nich tylko pieczętkę z herbem Polski, Litwy i Rusi. Ogół nie wiedział, kto stoi na czele rządu, a jednak

każdemu słowu jego wierzył święcie, każdy rozkaz spełniał ze ślepem posłuszeństwem.

Tajemny, ukryty rząd polski cieszył się większem zaufaniem, posiadał większą władzę od rządów jawnych i znanych. Dla czego? Dla tego, że wydawał rozporządzenia zgodne z dobrem i pożytkiem całego narodu, dążył do tego, aby nietylko wroga z kraju wypędzić ale i wszelką niesprawiedliwość, wszelką krzywdę usunąć.

Rząd Narodowy wypowiedział jasno i wyraźnie, że celem jego jest, po pierwsze: wywalczenie niepodległości ziem Polski, Litwy i Rusi. Po drugie: uwłaszczenie włościan Polski, Litwy i Rusi. Po trzecie: równość w obliczu prawa wszystkich mieszkańców Polski, Litwy i Rusi bez różnicy stanu i wyznania. Po czwarte: zapewnienie pobratymczym ludom Litwy i Rusi, złączonym z Polską, najrozleglejszego rozwoju narodowości i języka i uznanie ich za części zupełnie równe z Koroną.

Rząd Narodowy polski był więc rządem rewolucyjnym, dążył bowiem do zmiany dawnego porządku społecznego w kraju, dążył do tego, aby warstwy narodu, dotąd krzywdzone i uciskane, podnieść i dać im zupełną wolność i równe z innymi prawa.

Każdy z członków Rządu Narodowego stał na czele osobnego ministeryum czyli wydziału,

które się zajmowały sprawami wojny, administracją, sprawami zagranicznymi, prasą, finansami, sprawiedliwością. Przy Rządzie znajdował się główny sekretarz i dwóch innych, jeden dla Litwy, drugi dla Rusi, oraz naczelnik miasta Warszawy. Rząd Narodowy miał swoją policję i żandarmów. Ważniejsze sprawy wszystkich wydziałów Rząd rozstrzygał na posiedzeniach, na których uchwalał prawa, układał rozporządzenia i odezwy.

Na czele każdego województwa stał pełnomocny komisarz, mianowany przez Rząd Narodowy. Władzę z nim dzielił Naczelnik cywilny województwa. Na czele powiatów znajdowali się naczelnicy powiatowi. Rozkazów ich słuchali naczelnicy obwodowi, a tamtych znowu naczelnicy parafialni. Oprócz naczelników powiatowych byli jeszcze po wszystkich powiatach komisarze policji, skarbu, poczt, służby zdrowia.

Urzednicy, mianowani przez Rząd Narodowy po województwach i powiatach, zajmowali się dostarczaniem żołnierzy wodzom, formującym oddziały zbrojne; zaopatrywali powstańców w żywność, broń, ubranie; dawali schronienie rannym, powiadamiali walczących, gdzie i jakie znajdują się wojska moskiewskie, donosili o zaszłych wypadkach Rządowi Narodowemu do Warszawy.

Miał również Rząd Narodowy wydziały swoje w Galicyi i Księstwie Poznańskim, miał agentów za granicą, którzy broń zakupywali i wysyłali do kraju.

Tajemne państwo polskie było więc — jak widzimy — potężne i znakomicie urządzone. Uczciwość i odwaga, poświęcenie i rozum urzędników Rządu Narodowego pozostaną na wieczne czasy wymownym dowodem, jak wielu zacnych ludzi posiada naród polski. Ci, którym wrogowie nie zagarnęli byli jeszcze mienia za wierną służbę ojczyźnie, nie pobierali żadnej zapłaty od Rządu; narażali swe życie, poświęcali majątek jedynie przez miłość dla ojczyzny.

Na czele Rządu Narodowego stali w początkach powstania ci sami ludzie, którzy byli dawniej w Komitecie Centralnym, którzy przygotowywali naród do walki, rozpalali w jego sercu miłość dla sprawiedliwości. Ale już w miesiącu marcu zaszły zmiany w Rządzie. Zgiął w pojedynku od kuli podstępnego magnata Stefan Bobrowski, miłośnik ludu, człowiek żelaznej woli, ognistego serca. Zamknięty przez Moskali w ciemnym więzieniu, oczekiwał na wyrok śmierci Zygmunt Padlewski, który nawoływał do walki i poświęceń „dla zbawienia ludu, dla skończenia sprawy włościańskiej, dla położenia podstaw wielkiej wojnie ludowej“. W więzieniu znajdował się również skazany

na szubienicę Leon Frankowski. Czysta jego dusza płonęła gorącą miłością dla ludu. W ludzie widział on potęgę, co naród cały zbawi. Nad ludem pracował, wśród niego rozsiewał złote słowa prawdy i wolności. A taką miał odwagę, taką wiarę, że gotów był z kijami rzucić się na wroga, co kraj więził, bo — jak mawiał — „kij zdobywa karabin, a karabin armaty“. Frankowski to wspólnie z Nowakowskim, Majewskim i innymi urządził głównie owe wspaniałe manifestacye, podczas których lud warszawski ukazał się oczom całego świata w blasku męczeństwa i potęgi, w purpurze krwi i chwały.

Na miejsce owych bohaterów, pełnych poświęcenia i zapału, wiary i miłości dla ludu, wśliznęli się do Rządu „biali“ ze stronnictwa szlacheckiego, którzy początkowo byli przeciwni walce z wrogiem, a później obawiali się gorzej, niż ognia i niewoli moskiewskiej, zbrojnego ludu polskiego i wojny ludowej.

„Biali“ nie wzięli początkowo żadnego udziału w powstaniu i stojąc na uboczu, przypatrywali się bezczynnie, jak naród wiał się w rospaczliwej walce, aby zerwać kajdany, aby uwłaszczyć lud siermiężny. Dopiero kiedy inne państwa zaczęły ludzić nas obietnicami, że dopomogą w walce, białe stronnictwo zbliżyło się do Rządu Narodowego, a pozyskawszy wła-

dzę, inny kierunek starało się nadać powstaniu. „Biali“, rozliczając na pomoc Francuzów i Anglików, przedłużali powstanie, lecz chcieli, aby to był tylko bój z Moskwą, ale nie walka o nadanie praw i ziemi ludowi, nie rewolucya.

Rewolucyoniści próbowali owładnąć na powrót sterem rządu i stąd powstawały rozterki i niezgoda w samym narodzie. Wyrządziły one wielką szkodę sprawie polskiej, osłabiły powstanie, pozbawiły je życzliwości i przyjaźni rewolucyjnych stronnictw w innych krajach. Słusznie też powiada jeden z historyków, że „wzrost powstania przerwały nie zwycięstwa moskiewskie, lecz wewnętrzne zaburzenia, które targały umiejętnie ale bardzo sztucznie splecioną organizacją tajemnego polskiego państwa, polegającą na zaufaniu“.

V.

JAKO MARYAN LANGIEWICZ, DZIELNY DOWÓDCA POWSTAŃCÓW, POBIJAŁ WOJSKA MOSKIEWSKIE NA ZIEMI SANDOMIERSKIEJ I KRAKOWSKIEJ.

Walka nasza z Moskwą rozpoczęła się dnia 22 stycznia, a trwała koło dwóch niemal lat. Sztandary nasze ckryły się w ciągu długiej tej walki kurzem tysiąca bitew i potyczek. Trzydzieści tysięcy najzaciejszych synów Polski,

poległo w obronie ojczyzny, krwią użyźniając ziemię polską pod posiew wolności. Dzielnie bili się młodzi nasi żołnierze, chociaż broni im brakło, a w głębi lasów i chłód i głód nieraz doskwierał! Wielu mężnych i zdolnych wodzów, wielu bohaterów zajaśniało w tym czasie na polskiej ziemi.

Bywały chwile, żeśmy mieli 35 tysięcy powstańców pod bronią, walczących jednocześnie z wrogiem w rozmaitych punktach polskiej, litewskiej i ruskiej ziemi.

Najliczniejsze oddziały zbrojne utworzyły się w pierwszych czasach w województwach Sandomierskiem i Krakowskiem, to jest tam, gdzie Kościuszko — wraz z Bartoszem Głowackim i Stachem Swistackim — zdobywał niegdyś armaty przy pomocy chłopskich kos, gdzie nad kosynierską wiarą, „smagłą w twarzy, zsiadłą w barach“ powiewała niegdyś chorągiew polska z napisem: „Żywią i bronią“.

Do obozów powstańczych garnęła się młodzież pełna zapału i wiary, męstwa i nadziei, bywały wszakże częste wypadki, że i siwowłosi starcy, wydostawszy z ukrycia szable, którymi walczyli za ojczyznę przed trzydziestu dwoma laty, śpieszyli ze łzami radości i uniesienia w wielki, sprawiedliwy bój.

A jak tryumfalnie witano po miasteczkach mężnych powstańców, gdy wracali po odnie-

sionem zwycięztwie! Dzwony dzwoniły na ich cześć, uroczyste procesye wychodziły na spotkanie, kobiety słały im pod nogi zielone gałązki i kwiaty. Powiewało młode wojsko sztandarami na podziękę, a wódz śpieszył na rynek, odczytywał ludowi manifest Rządu Narodowego, głoszący równość i wolność, nadający ziemię i chleb! A potem zrzucał z ratusza dwugłowego orła Moskwy, potwornego owego ptaka, który pożarł tyle ciał ludzkich, wypił tyle łez i krwi niewinnej.

Po długiej niewoli i męce pierś polska odychała radością, połała się nadzieją. Powiat największy w Królestwie, był wkrótce wolny od Moskala, a w Sandomierskiem zasłynął najgłośniej z pomiędzy wodzów Maryan Langiewicz. Założył on obóz w mieście Wąchocku, licznie przybywających ochotników ćwiczył w sztuce wojennej, tworzył porządne oddziały, kuł broń w założonej przez siebie fabryce.

Wojsko moskiewskie podążyło do Wąchocka, aby rozbić obóz Langiewicza. Ale młodzi nasi żołnierze walczyli z taką odwagą, męstwem, spokojem, jak osiwiali w boju rycerze i dzielnie stawili czoło Moskwie w dwóch potyczkach, następnie cofnęli się do klasztoru na Łysej Górze. Wytrzepali tam skórę wrogom jak należy, pobili ich pod Staszowem, Pieskową skałą i w paru innych miejscowościach, poczem

rozłożyli się obozem na krótki wypoczynek w Goszczy, o parę mil od Krakowa.

Ksiądz Szulc, włościanin z pochodzenia, który znajdował się w obozie Langiewicza, tak go nam opisuje:

„Widok obozu był piękny: broń w koźlach świeciła blaskiem bagnatów, gdzieindziej strzelcy, czołgając się na brzuchach, to powstając nagle, uczyli się służby tyralierskiej; tam znowu pokazywano, jak się broń nabija, jak się naciera kolumną, jak strzela. Kosynierska musztra również była zajmująca, jak i konnicy, pędzącej do szarży. W wielu miejscowościach paliły się ogniska, a przy nich toczyły się gwarne rozmowy wiarusów.“

Dzielnością rycerską, opornością w boju sławił się szczególnie oddział żuawów, dowodzony przez Francuza Roszbruna. Żuawi nosili, jako oznakę, trupie główki na pasach, chcąc przez to wyrazić, że śmierci się nie obawiają i raczej zgina, niż mieliby się cofnąć przed nieprzyjacielem.

W obozie, który liczył do 4 tysięcy żołnierzy, znajdowało się także kilka kobiet. Wielka miłość ojczyzny kazała dzielnym owym niewiastom broń uchwycić, walczyć i ginąć śmiercią walecznych.

Maryan Langiewicz walczył dawniej jeszcze za wolność Włoch pod wodzą sławnego

na cały świat Garibaldiego. Nie brakło mu też odwagi ani znajomości sztuki wojennej. Byłby więc oddał z pewnością wiele usług ojczyźnie i nie byłby zawiódł nadziei, jaką w nim pokładała, gdyby magnaci nie oplatali go w swoje sieci i nie ogłosili dyktatorem, to jest naczelnikiem, posiadającym najwyższą władzę, który miał odtąd wszystkimi sprawami kierować zamiast Rządu Narodowego. Magnaci niechętnem okiem patrzyli na Rząd, składający się wówczas z „czerwonych“, a zarazem obawiali się, aby najwyższa władza nie dostała się w ręce Ludwika Mierosławskiego, demokratty, przeciwnika szlacheckich rządów w Polsce. Ogłosili więc co rychlej dyktatorem Langiewicza, bo mieli nadzieję, że tak będzie śpiewał, jak mu zagrają, że nie sprzeciwi się ich woli.

Langiewicz, zostawszy dyktatorem, stracił dawną fantazyę, dawną butę i dzielność. A chociaż odniósł jeszcze jakie takie zwycięstwo pod Chrobrzą i Grochowiskami, opuścił wkrótce potajemnie obóz i udał się do Galicyi, gdzie siedzieli owi magnaci, co mu najwyższą władzę ofiarowali.

Niegodziwa intryga magnacka wyrządziła ogromną klęskę powstaniu i mogłaby była zgubić je zaraz w początkach, gdyby Stefan Bobrowski nie naprawił choć w części zła i

męską, szlachetną odezwą nie podniósł upadłego ducha w narodzie.

Po haniebnej ucieczce Langiewicza oddział jego, jeden z najlepszych i najliczniejszych w powstaniu rozproszył się. Jeden tylko z dowódców, waleczny a mężny Czachowski, zdołał ludzi swoich przy sobie zatrzymać i przez ośm następnych miesięcy walczył z wrogiem, zadając mu nieraz ciężkie klęski. Aż bohaterską głowę złożył w obronie ojczyzny w bitwie pod Wierzchowicami, podczas której walczył z lwią odwagą i okrył się nieśmiertelną chwałą.

VI.

DWUSTU BOHATEROW POD WĘGROWEM NA PODLASIU.

W kilka dni po wybuchu powstania nieliczne jeszcze siły powstańcze na Podlasiu skupiły się w miasteczku Węgrowie, kiedy nadbiegła wieść, że pułkownik moskiewski ciągnie z ogromnem wojskiem i sześciu armatami. Co tu robić? W mieście bić się niepodobna, a skoroby wysunęli się na otwarte pole, wojsko moskiewskie mogłoby otoczyć oddział ze wszystkich stron i zdziesiątkować go wystrzałami z armat.

Z trudnego położenia uratowało oddział bohaterstwo dwustu powstańców. Postanowili oni zginąć, aby ocalić resztę towarzyszy. „Wy-

prowadź spokojnie żołnierzy z miasta — mówili do naczelnika. Niech żyją, niech bronią ojczyzny! My tu pozostaniemy i zatrzymamy nieprzyjaciela, a wy tymczasem dojdziecie do bezpiecznego miejsca. Sami zginiemy, ale śmierć nasza posłuży Polsce. Nie żal za ojczyzną umierać!“

I wyszło przed miasto dwustu nieustraszonych bohaterów. Stanęli spokojnie, oczekując wroga, gotując się na bój śmiertelny.

Wzbijają się tumany kurzawy, błyskają bagnety. Moskale idą!

Lecą odważnie na działa powstańcy. Jak piorun spadają na karki wrogów. Pierzcha wystraszona artylerya moskiewska, pozostawiając armaty. Ale wnet piechota opasuje śmiertelnym pierścieniem garstkę mężnych rycerzy. Ostrza bagnetów mierzą ze wszystkich stron w ich piersi. Wre bój. Walczą nieustraszenie powstańcy i giną wszyscy. Żaden nie cofnął się, żaden nie błagał wroga o życie.

Cześć pamięci mężnych synów Polski!

VII.

O WALKACH, JAKIE STACZALI NA PODLASIU I W LUBELSKIM
MARCIN BORELOWSKI I KS. BRZÓSKA.

Ludność wiejska czynnie dopomagała powstaniu na Podlasiu i w Lubelskiem. Wiele

tam było oddziałów, wiele potyczek i bitew tam stoczono. Walka była uporczywa, trwała długo dzięki pomocy włościan.

Na Podlasiu w jednej z gmin powiatu łukowskiego przyłączyło się do oddziału podpułkownika Zielińskiego 500 włościan. W innej znowu gminie garwolińskiego okręgu włościanie zgromadzili się tłumnie z kosami we dworze i zmusili dziedzica, aby stanął na ich czele i wykonał napad na załogę moskiewską, znajdującą się w miasteczku Łaskarzewie. „Gdybyśmy byli mogli wyczekać z wybuchem powstania do wiosny — pisze jeden z naczelników województwa — lud cały na Podlasiu byłby wciągnięty do spisku“. Kował Szymański sformował tam oddział żandarmeryi z samych włościan złożony.

Z wodzów na Podlasiu i w Lubelskiem odznaczyli się wytrwałem męstwem Marcin Borelowski i ks. Brzóska.

Marcin Borelowski rodem z Krakowa, był synem ubogiego mularza. Szesnaście lat miał zaledwie, kiedy już zaczął pracować dla dobra ojczyzny, należąc w r. 1846 do tajnej znowy, mającej na celu oswobodzenie Polski od wrogów. Prusacy posadzili go za to do więzienia. Po powrocie do Krakowa, jął się Borelowski uczyć rzemiosła blacharskiego. Pracą rąk zarabiał na chleb, a po głowie snuła mu się

wciąż myśl, jakby to naukę i wiedzę zdobyć, aby pożyteczniej służyć krajowi.

Skoro więc wyzwolił się na czeladnika blacharskiego, puścił się w świat na daleką wędrówkę, aby w obcych krajach rozumu się uczyć. Był w Niemczech i w Austrii, zwiedził czeską i węgierską ziemię. Podczas tej długiej wędrówki zarabiał Borelowski na życie taką robotą, jaka się nadarzyła: studnie kopał, ziemię taczkami woził, piece stawiał. Czarne ręce żwawo pracowały, a mądra głowa myślała o wielkich rzeczach, snuła śmiałe plany, jakby to miliony braci od jarzma niewoli wybawić, a w kraju sprawiedliwość zaprowadzić.

Zamieszkał w końcu Borelowski w Warszawie, gdzie znalazł dobre zarobki, jako mechanik. Zapoznał się tu wkrótce z młodzieżą rzemieślniczą, pracującą po warsztatach, która otoczyła go szczerą miłością i wielkiem zaufaniem za jego szlachetne, gorące serce, za bystry rozum i zacne życie.

Gdy w Warszawie zaczął się budzić ruch narodowy, gdy ludzie jęli myśleć nad tem, aby dolę ojczyzny polepszyć, Borelowski nie pozostał bezczynny, lecz wszedł natychmiast do organizacyi narodowej, to jest do grona ludzi, którzy byli ze sobą w tajemnej zmowie. Od tej chwili oddał się duszą i ciałem wielkiemu dziełu. Zgromadzał młodzież rzemieślniczą,

niczą, wiązał ją w stowarzyszenia, tłumaczył, jak okropnem jest życie rozdartego narodu, a jak bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli sami się rządzić i takie porządki zaprowadzić, któreby wiodły ojczyznę nie do zguby, ale do szczęścia i zbawienia. Umiał Borelowski znaleźć czas na wszystko, co trzeba było zrobić. Pracował w ukrytej drukarni, gdzie się drukowały odezwy Komitetu Centralnego, pieśni patryotyczne i inne ważne druki. Zarządzał fabryką kos, lanc i innej broni. Pisał sam gorące odezwy do narodu.

Przeczuwając, że wkrótce przyjść musi do zbrojnej walki, wysyłał Borelowski młodzież rzemieślniczą na wieś, aby włościanom tłumaczyła to, o czem już sama dobrze wiedziała. Największe nadzieje pokładał on słusznie w klasie rzemieślniczej i ludzie wiejskim, tam bowiem największa siła w rękach, a najgorętsze uczucia w sercach się kryją.

Gdy trąbka bojowa zagrała, powołując do broni naród polski, Borelowski pośpieszył z rozkazu Rządu Narodowego na Podlasie. Energicznie i żwawo wziął się były blacharz do formowania zbrojnego oddziału. W krótkim czasie miał już 400 ludzi, uzbrojonych w piki i kosy, a między nimi mnóstwo włościan, których serce i zaufanie umiał pozyskać.

Po sformowaniu oddziału walczył dzielny

wódz z wrogiem przez siedm miesięcy, staczając ciągle bitwy i potyczki, odnosząc częste zwycięstwa.

Odważny wódz-rzemieślnik nic sobie z tego nie robił, że wojsko moskiewskie bywało nieraz daleko liczniejsze od jego oddziału. Wierzył w siłę, zapał i męstwo swych żołnierzy, uderzał śmiało na wroga i odnosił zwycięstwo. Pod Panasówką naprzykład, w pobliżu Zwierzynca, w Lubelskiem, spotkał się oddział Borelowskiego z trzema tysiącami Moskali. Wszczęła się wnet zacięta walka. Bitwa trwała pięć godzin. Moskale ponieśli w niej ogromne straty: kilkuset ludzi mieli zabitych, utracili dwie armaty.

Ale i dla Borelowskiego wybiła straszna godzina. W kilka dni po bitwie pod Panasówką ćma Moskali otoczyła ze wszystkich stron oddział powstańców w leśnym wąwozie pod Batorzem. Widząc że morderczy ogień z armat, ustawionych na górze nad wąwozem, sieje śmierć w szeregach, Borelowski zawołał do swoich: na bagnety! i rzucił się na nieprzyjaciela, lecz dwie kule, celnie wymierzone, obaliły go na ziemię i przecięły życie męznego wodza a zacnego człowieka.

Zginał Borelowski, jak przystało na dobrego żołnierza, zginał na polu bitwy, w obronie ojczyzny, ale pamięć o nim nigdy nie zgi-

nie; zacne uczucia, szlachetne myśli, które rozbudzał słowem i przykładem wśród ziomków, żyć będą wiecznie.

Na serdeczną pamięć i miłość rodaków zasłużył sobie również ks. Stanisław Brzóska, włościanin z pochodzenia.

Na długi czas przed powstaniem, kiedy w Warszawie rozpoczęły się owe manifestacje ze śpiewami i procesyami, Brzóska przemawiał gorąco do ludu, tłumacząc zaszłe wypadki, zachęcając do pracy, miłości i poświęceń dla ojczyzny, nad którą pastwił się dziki wróg. Za te nauki, za słowa prawdy zamknęli Moskale zacnego pasterza do więzienia na kilka miesięcy.

Kiedy wybuchło powstanie, przypomniał sobie ks. Brzóska wielkie słowa, że „dobry pasterz kładzie głowę za owieczki swoje“, i poszedł walczyć za wolność i lud.

W dzień powstania na czele oddziału z włościan i mieszczan złożonego, uderzył Brzóska na Moskali, stojących załogą w miasteczku Łukowie. Po krótkiej walce rozbroił ich i z bogatym łupem wojennym pociągnął do obozu wodza Lewandowskiego. Przebywał następnie i w innych oddziałach powstańczych, uwijających się po Lubelskiem, a przez jakiś czas walczył wspólnie z Borelowskim.

Wielkie serce biło w piersiach tego człowieka! Podczas bitwy pierwszy rzucał się na

nieprzyjaciela, siekł i rąbał, jako mściciel za krzywdy braci, a po skończonej bitwie opatrywał rannych, pocieszał umierających, niósł bratnią pomoc wszystkim potrzebującym.

W roku 1864, powstanie zaczęło słabnąć: większe oddziały zniknęły, ludziom opadały ręce, zwątpienie zakradało się do umysłów. Ale Brzóska miał wytrwałe, chłopskie serce. Wiedział, że walczyć jeszcze można i zwyciężyć można, byle z pod wiejskich strzech wysunęły się szeregi obrońców ziemi, która już była ich własnością.

Powiedział też sobie ten kmiący syn, że póki żyć będzie, walki nie zaprzestanie. Sformował włościański oddział konny i przez długie miesiące ucierał się z wrogiem. A zawsze w chwili niebezpieczeństwa potrafił ująć z rąk nieprzyjaciela, bo włościanie, dopomagając mu sercem całym, wynajdywali dla niego i jego wojaków bezpieczne kryjówki. Ohydna zdrada przyprowadziła wreszcie Moskali do chaty sołtysa we wsi Sypiszkach, gdzie podówczas ukrywał się ks. Brzóska. Widząc się otoczonym ze wszystkich stron, dzielny powstaniec wystrzałami z rewolweru otworzył sobie drogę i puścił się w stronę lasu, strzelając wciąż do tych, co za nim gonili, lecz w szybkim biegu potknął się i upadł, a wówczas pochwycili go ścigający żandarmi. Nie stracił spokoju ks. Brzóska i w ostatniej

chwili, chociaż wiedział, że nie ujdzie już okropnej śmierci: oddając żandarmowi rewolwer, rzekł uprzejmie: „weź go sobie na pamiątkę“.

W kilka tygodni później mężnie i spokojnie zginął na szubienicy w mieście Sokołowie „ostatni ten zbrojny żołnierz naszego powstania“.

VII.

JAKO KURPIE DZIELNIE BRONILI SWEJ ZIEMI.

Gdybyśmy skierowali się na północ od Warszawy, tobyśmy wkrótce przybyli w strony, gęstym lasem porośłe, o których mówi piosenka:

Szumi bór, szumi gaj,
Szumi gałązeczka,
Wolny kraj, leśny kraj,
Środkiem płynie rzeczka.

Rzeczka owa, a raczej wspaniała rzeka, nazywa się Narew. Wznoszą się tu miasta: Ostrołęka, Myszyniec i inne, a rozległe puszcze leśne noszą nazwę Zielonej, Skwańskiej, Myszyńskiej, Ostrołęckiej, Nowogrodzkiej.

Strony te zamieszkuje lud odważny i dzielny, zwany Puszczakami lub Kurpiami od płytkiego obuwia z lipowego łyka lub skóry zwierzęcej, które nosi zamiast butów.

Za dawnych czasów Puszcza Kurpiowska była, jak wiadomo „Królewszczyzną“. Nie mieli więc Kurpie nad sobą żadnego pana, nie znali

poddaństwa, lecz rządził się osobnymi, przez królów polskich nadanymi sobie prawami, które zapewniały im daleko większą wolność, niż innym włościanom, trudnili się zaś przeważnie myśliwstwem i pszczelnictwem. Każdy Kurp chował w chałupie strzelbę i od szóstego już roku życia uprawiając się w strzelanie, z czasem dochodził do takiej zręczności, że powstało przysłowie: „strzela jak Kurp“ dla oznaczenia wyborczego strzelca.

Wielka swoboda, jaką cieszyli się Kurpie, życie wśród pięknych szumiących lasów, zajęcia myśliwskie, rozwinęły w nich odwagę, zręczność, siłę. Dzielnych synów, mężnych obrońców miała w nich ziemia polska. Czy to raz przelewali za nią obficie krew! Kiedy n. p. za króla Sasa Szwed wkroczył z ogromnem a bitnem wojskiem do naszego kraju, paląc, rabując, pustosząc po drodze i taka trwoga padła na wszystkich mieszkańców, że nikt o obronie nie myślał, kiedy rycerze nawet uczuli — jak to mówią — duszę na ramieniu, wówczas nie przełękli się wroga jedni chłopci, co nawet butów nie mieli, nie przełękli się Kurpie. Powiedzieli oni wręcz dumnemu królowi szwedzkiemu, że nie puszczą jego wojska przez swoje lasy, bo oni tu siedzą, aby ich strzec, bo oni tu panami. Pyszny król, przed którym wszyscy drżeli z obawy, parsknął pogardliwym śmie-

chem i nieusłuchał wysłańców kurpiowskich, lecz drogo zapłacił za swe nieposłuszeństwo; Kurpie natłukli wówczas w lasach ze dwa tysiące jego rycerzy i o włos samego króla nie wzięli w niewolę. I później kilka jeszcze razy zadawali klęski Szwedom. Taka to moc w chłopskim ramieniu!

Za Kościuszki niemniej dzielnie zwijali się Kurpie, a pewnego razu armatę mu nawet przyciągnęli i złotych pieniędzy za nią nie wzięli, mówiąc, że milej pracować darmo dla ojczyzny, niż za pieniądze. I podczas powstania z r. 1830 nie siedzieli Kurpie za piecem, tylko rwali się do bitwy. Dzięki ich to pomocy oddział naszego wojska pobił doszczętnie dwa pułki jazdy moskiewskiej.

Nie znali Kurpie co to lęk przed wrogiem, umieli wojować. Kiedy więc w r. 1863 gruchnęła po kraju wieść o powstaniu, zahuczało w niskich chatach kurpiowskich, niby w ulacń. „Trzeba bić, uradziła wioska, w lasy bież, strzelbę chwyć, w kim dusza kurpiowska!“ „Gdyby była broń — pisze jeden z dowódców powstania — cała ludność kurpiowska stanęłaby do walki — nie trzeba było jej werbować“. Po wszystkich kuźniach zadźwięczały młoty, po wszystkich kuźniach przekuwano pośpiesznie kosy, bo strzelby pierwej już Moskale byli zabrali Kurpiom. Dwa tysiące włościan, nie wzy-

wanych przez nikogo, z własnej woli zgromadziło się w lasach pod miastem Ostrołęką, wyczekując przez dwa dni, aż Moskale wyjdą z miasta, aby na nich uderzyć. Lecz na nieszczęście nie było już wówczas w Rządzie Narodowym demokratów, jak Bobrowski, Padlewski, Frankowski, którzy wiedzieli, że „Polsce nie powstać ani z cudów, ani z ludów, ale z własnej krwi i trudów.“

Rząd Narodowy, w którym gospodarowali w owym czasie, to jest w czerwcu, „biali“, kazał rozejść się gromadom. Wywołało to wielkie oburzenie wśród walecznych, zacnych Kurpiów, a jeden z nich, żołnierz z r. 1831., zwracając się do naczelnika województwa, Tłuchowskiego, powiedział z żalem: My nie potrzebujemy, abyście nas oszczędzali tam, gdzie życie dać trzeba. Przyjdzie czas, że my sami zrobimy powstanie i wypędzimy Moskali, ale was tam nie będzie“.

Innym razem Moskale wpadli do jednej z wiosek kurpiowskich i pozamykali się w chatach i stodołach, prażąc z bezpiecznego ukrycia siarczystym ogniem powstańców. Zakipiała gniewem krew w chłopskich żyłach. Pomyśleli sobie: lepiej „spalić, dom rozwalić, niżli wroga chować“, poskoczyli co tchu starczyło i podłożyli ogień pod własne chaty. W płomieniach, roznieconych ręką włościan, zginęli wówczas wszyscy Moskale, wrogowie wolności i Polski.

W łomżyńskich znowu lasach 80 Kurpiów pod dowództwem dzielnego kapitana Wolskiego zrobiło zasadzkę na bandę moskiewskich rabusiów we wsi Lemanie, a kiedy ci, niczego się nie domyślając, wjechali w sam środek zasadzki, posypał się na nich grad kul. Kurpie, jak wiemy, strzelają celnie. Wystrzelali też uciekających po grzęskiem błocie niby kaczkę — jeden im tylko uszedł — i zabrali, jako zdobycz wojenną, wiele pięknych koni, karabinów, pałaszy, pistoletów. Świetną tę zdobycz wojenną, której wartość wynosiła koło 20 tysięcy złotych polskich, przestali Kurpie do obozu polskiego majora Brandta.

Na czele niektórych oddziałów kurpiowskich stali sami włościanie. Z pomiędzy chłopskich owych dowódców zasługuje szczególnie na wspomnienie Kurp imieniem Nowak.

Nowak oraz kum jego Ciupała dowozili do obozów powstańczych broń, kule i proch od granicy pruskiej, niedaleko od nich położonej. Dowiedzieli się o tem Moskale, wpadli do wioski, w której mieszkał Nowak i jęli przetrząsać wszystkie chaty, obiecując gospodarzom nagrodę pieniężną za wydanie Nowaka, lecz widząc, że to nie skutkuje, zaczęli bić ich okrutnie kijami.

I bicie wszakże nie pomogło. Nie znalazł

się ani jeden zdrajca wśród włościan. Pieniądze odrzucili z pogardą, ból znieśli mężnie.

Nic nie wskórawszy, poszli Moskale do sąsiedniej wioski, gdzie mieszkał Ciupała i wpadłszy do jego chaty, niby rozżarte zwierzęta rzucili się na nieszczęśliwego gospodarza, bijąc go bez miłosierdzia, aby zmusić do powiedzenia, gdzie broń ukryta? gdzie Nowak się znajduje? Pod okrutnymi razami wił się w boleściach Ciupała, bujne krople potu spływały po bladej jego twarzy, krew sączyła się z poranionych pleców, kiszki wychodziły z poprzecinanego brzucha, on wszakże milczał, jak głaz, zaciąwszy tylko zęby z bólu. Abo to chłopu dziwota cierpieć!

Umarł pod kijami męczeńską śmiercią mężny, szlachetny Ciupała, ale nie splamił zdradą chłopskiego honoru: nie powiedział, gdzie ukrył broń dla powstańców, nie wydał Nowaka, który jeden tylko — prócz niego samego — wiedział o kryjówce i mógł odwieźć do obozu kule i proch.

A Nowak przez cały rok następny po ciemnych ostrołęckich lasach się uwijał, braciom włościanom dzielnie dowodził, za krzywdy Polski i okrutną śmierć kuma wrogom celnymi kulkami odpłacał.

Z wodzów, którzy walczyli na czele Kur-

piów zapamiętać należy niemniej imię Zygmunta Padlewskiego.

Na wieść o krwi, przelanej na ulicach Warszawy podczas manifestacyj, Padlewski, który był wówczas kapitanem gwardyi w wojsku moskiewskim, porzucił natychmiast służbę i wyjechał do obcych krajów, aby tam dla dobra ojczyzny pracować.

We włoskiem mieście Kuneo istniała w owych czasach polska szkoła wojskowa, do której młodzież nasza wyjeżdżała przed postaniem, aby uczyć się sztuki wojennej. Padlewski był przez jakiś czas profesorem w tej szkole, a przed zimą 1862 roku wrócił do Warszawy i stanął na czele Komitetu Centralnego.

Ogniste serce, jasny rozum, hartowną wolę poświęcił Padlewski ojczyźnie, której zbawienie widział w ludzie wiejskim: „Wiem — mówił na dni kilka przed powstaniem — że nic lepszego nie zrobię, jak umrę, niosąc kmiotkowi własną ręką to, co mu się należy. Biermy więc w ręce dekrety uwłaszczeń, idźmy na cały kraj, uzbrojmy się, jak możemy, napadnijmy mniejsze załogi nocną porą; a gdy nam życia nazajutrz zostanie, idźmy do kmiotka, zwróćmy mu jego należność i do boju z najazdem powołujmy“.

Od pierwszej chwili powstania rzucił się Padlewski w wir walki i szedł odważnie w ogień

nieprzyjacielski, nie szczędząc życia. W początkach zaś marca przybył do puszczy nad rzeką Narwią, aby objąć dowództwo nad niewielkim oddziałem, sformowanym tam przez Zameczka. Oddział ten zaczął szybko wzrastać od chwili, gdy młody wódz stanął na jego czele i wkrótce liczył koło dwóch tysięcy ludzi odważnych, dzielnych ale niestety, źle uzbrojonych. Brak broni był wielkim nieszczęściem dla powstania. W Polsce nie można jej było dostać, bo wszystkie składy i fabryki znajdowały się w rękach Moskwy, a broń, którą zakupywano w obcych krajach, Prusy i Austria zabierały na granicy.

Padlewski ćwiczył umiejętnie młodych żołnierzy w obrotach wojennych, uczył ich musztry i strzelania. Dziarsko też wyglądał jego oddział, kiedy po raz pierwszy spotkał się z wrogiem pod miastem Myszyńcem. Szaloną odwagą, jaką okazał w tej bitwie, wzbudził Padlewski zapal i uwielbienie w swych żołnierzach. Dwa razy pieszo, z chorągwią w rękę prowadził kosynierów do ataku. Zagrały ostre kosa wspaniałą pieśń bojową... Dzielnie walczyli powstańcy i nie mrużyły się jasne oczy chłopskie przed strzałami wroga, który sam wkrótce uchodzić musiał, jak niepyszny, z pola bitwy, pozostawiwszy wielu rannych i zabitych. Zwycięstwo zostało przy nas.

Dokładną znajomością sztuki wojskowej, męstwem w boju, zimną krwią w niebezpieczeństwie odznaczał się Padlewski i w dalszych spotkaniach z nieprzyjacielem. A wciąż marzył, aby rozwinąć jak najszerzej i najgłębiej powstanie, aby lud cały poruszyć i w walkę wprowadzić. Wielkim był przeto tryumf Moskali, gdy młody bohater dostał się w ich ręce.

Padlewski jechał właśnie z kilku towarzyszami w stronę Dobrzynia, aby objąć dowództwo nad mającym wkroczyć z Prus Zachodnich oddziałem, który śpieszył z pomocą walczącym braciom, gdy Moskale otoczyli jego powóz i poznavszy, kim był młody podróżny, odprawdzili go do Płocka do więzienia.

Nie mógł więc Padlewski pracować dalej dla ojczyzny, nie mógł walczyć w jej obronie, ale potrafił mężnie umrzeć za to, co ukochał: za wolność, za Polskę, za lud.

W piękny majowy poranek wieźli Moskale znakomitego jeńca za miasto na stracenie. Spojrzeniem miłości i żalu ogarniał Padlewski po raz ostatni ziemię polską, strojną w blaski wiosennego słońca. Z boleścią myślał, że nie ujrzy już nigdy krewnych, przyjaciół, towarzyszy. Ale na spokojnej twarzy jego nie było ani cienia strachu. Nie znał co to obawa waleczny ten potomek owych dumnych rycerzy, którzy carów moskiewskich brali w niewolę, którym

Prusy hołd składały, których cesarz austriacki błagał o ratunek od Turka.

Nie pozwolił sobie oczu zawiązywać, jak to było we zwyczaju, pragnął bowiem patrzeć do ostatniej chwili w oblicze drogiej ojczyzny.

Przywiązano go do słupa nad wykopanym dołem. Huknęło dwanaście strzałów i dwanaście kul zagłębiło się w ciało powstańca, ale żadna z nich nie była śmiertelną. Padlewski pochylił się, jak młody świerk, podcięty siekierą, lecz żył jeszcze, gdy go bezduszni siepacze wtrącili do dołu i zaczęli zasypywać piaskiem.

Z pod ziemi wydobywały się przez długą jeszcze chwilę głucho jęki męczennika...

Gdy chłodny wiatr powieje jesienią, opadają złote i purpurowe liście, ale drzewo nie ginie i znowu z wiosną okrywa się świeżą zielenią. Okrucieństwo Moskali wydierało życie najdzielniejszym synom Polski, lecz Polski nie zabiło. Żyje ona i żyć będzie!

VIII.

CO SIĘ DZIAŁO PODCZAS POWSTANIA NA LITWIE.

Za Niemnem, na siostrzanej Litwie, która przez pięć wieków dzieliła z Polską złe i dobre losy, potworzyły się na pierwsze hasło bojowe liczne oddziały powstańcze. Walczyły

one długo i krwawo z wrogiem dzięki wytrwałej pomocy wiejskiego ludu.

Włościanie na Litwie przechowywali w swych chatach powstańców w przerwach między jedną a drugą bitwą, dostarczali obozującym w lasach żywności i ubrania, wstępowali sami licznie do oddziałów.

Męstwem, ofiarnością, przywiązaniem do ziemi ojczystej odznaczał się zwłaszcza lud wiejski w północnej części Litwy, zwanej Żmudzią, a przytykającej do morza Bałtyckiego.

Zamożni Żmudzini oddawna posyłałi dzieci do wyższych szkół, aby tam uczyli się na księży i doktorów. Wielu z włościan było biskupami, wielu z takich, co nauki w szkołach pokończyli, gospodarowało na ojcowiznie. Dzięki wyższej oświacie lud wiejski rozumiał dobrze, jakie to straszne nieszczęście być niewolnikami, znosić haniebny ucisk Moskwy. Kiedy więc usłyszeli włościanie o manifeście Rządu Narodowego, który głosił wolność i równość wszystkim mieszkańcom Polski, Litwy i Rusi i oddawał na własność ziemię rolnikom, radością wielką uderzyły ich serca. Gorętsi wołali: „Weźmy siekiery i cepy, a kiedy wszyscy pójdziemy, to Moskwa się nie ostoja“. Starsi i rozważniejsi zapytywali: gdzie broń? gdzie naczelnik, co ma nas do boju prowadzić?

Nie zabrakło wkrótce wodzów dzielnemu

ludowi. Pośpieszył do ciemnych lasów mężny, wielki zapałem i męstwem ks. Mackiewicz. Pochwycił śmiałą dłońią miecz zemsty Bolesław Kołyszko. Stanęli na czele braci włościanie: Bitis, Łukaszunas, Pujdak. Staczali krwawe potyczki za wolność Szymkiewicz, Dłuski, Kuszłejko, Nieszokoć, Cytowicz. Napełnił sławą swego imienia kraj cały z krańca w kraniec szlachetny bohater, Zygmunt Sierakowski.

Z dzielnej rodziny pochodził Sierakowski. Dziadek jego po matce, rzeźnik Morawski, walczył z Kościuszką i wspólnie z szewcem Kilińskim „podburzył Warszawę, wyprawił Moskalom weselisko krwawe“. Ojciec Sierakowskiego poległ na polu chwały w powstaniu z r. 1831. Wuj utracił palce u prawej ręki, broniąc Warszawy pod Wolą razem z generałem Sowińskim.

I w sercu Zygmunta Sierakowskiego od wczesnych lat zapłonęła wielka miłość dla wolności, dla ludu. Ucząc się w wyższej szkole czyli uniwersytecie w Petersburgu, wyjeżdżał każdego lata w inną stronę ojczyznoego kraju, aby poznawać i oświecać lud wiejski. Cały czas spędzał wówczas w towarzystwie włościan, dopomagając im w żniwach, w zbiorze siana, opowiadając o dawnych czasach. Chętnie słuchali rolnicy mądrego młodziana, co mówił

pięknie, niby z książki, a starzy włościanie nazywali go swym synem.

Gdy car moskiewski, Mikołaj, dowiedział się o szlachetnej pracy Sierakowskiego, gdy usłyszał jak szczerą miłością i zaufaniem cieszy się on wśród towarzyszy w uniwersytecie, zakopiał gniewem i wysłał go w mroźne bezludne kraje. Car nie chciał, aby Sierakowski pracował dla dobra ojczyzny i dla tego skazał go na wygnanie. Car nie chciał, aby Sierakowski przebywał wśród ludzi oświeconych, budził w nich zamiłowanie wolności i dla tego skazał go na 12 lat ciężkiej żołnierskiej służby. Car pragnął, aby ludzie zginali przed nim karki, jak niewolnicy, aby nie podnosili głosu, gdy on po nich depcze.

Służąc przez długie lata w wojsku, jako prosty żołnierz, poznał Sierakowski dokładnie nędzę i poniewierkę, jaką znosili żołnierze pod panowaniem cara. Szlachetne jego serce krwawiło się, gdy widział, jak owych nieszczęśliwych ćwiczą różgami za byle co, jak biją ich niemilosierdzie kijami.

Kiedy więc po śmierci cara, który go prześladował, pozyskał Sierakowski wielką sławę i znaczenie wśród Moskali, zaczął zaraz pracować nad polepszeniem żołnierskiej doli. Póty mówił, wyjaśniał, pisał, tłumaczył, aż przekonał rząd, że bicie żołnierzy hańbą okrywa pań-

stwo moskiewskie i przynosi mu szkodę. I oto różgi przestały rozcinać skórę, a kije łamać kości żołnierzy rosyjskich za staraniem i wpływem Sierakowskiego.

Moskale z podziwem spoglądali na wielkiego człowieka, a ceniąc głęboki jego rozum, rozległą naukę, pragnęli go pozyskać dla siebie. Sierakowski został wkrótce mianowany pułkownikiem; otwierała się przed nim droga do szczytów i sławy.

Ale on złączony był sercem z cierpiącą ojczyzną. Skoro więc walka wybuchła, pośpieszył natychmiast na Litwę.

Garnęli się tłumnie ochotnicy do obozu Sierakowskiego. Przyłączył się do niego ks. Mackiewicz ze swym oddziałem, poddał się pod jego rozkazy Kołyszko. Pięknie wyglądał obóz Sierakowskiego, w którym panował porządek, wesołość i wiara w wodza. „Najmilszem i najbardziej zajmującym widowiskiem — pisze jeden z tych, co widział ten obóz na własne oczy — była musztra kosynierów, złożonych wyłącznie z włościan, jednostajnie ubranych, w szarych siermięgach, czarnych czapkach i skórzanych pasach, mających w ten sposób pozór umundurowanego wojska, a wielce ochotczych do robienia kosą i do nauki manewrów“.

Pod koniec kwietnia stoczyła mała armia Sierakowskiego pierwszą bitwę z nieprzyjacie-

lem między Ginetynami a Rogowem. Strzelcy nasi, rozsypani gęsto na brzegu lasu, przywitani nieprzyjaciela siarczystym ogniem. Sierakowski na czele kosynierów uderzył na wozy z bagażami i zdobył takowe w mgnieniu oka. Mackiewicz zagrzewał dzielny swój oddział kosynierski, dając mu przykład rycerskiego męstwa. W zapale walki siły walecznego wodza wzrosły do niebywałej przed tem potęgi: żołnierz moskiewski naciera na niego bagnetem, ks. Mackiewicz gołą ręką odbija broń, obala napastnika i obcasem druzgocze mu czaszkę.

Bój trwał niedługo. Pierzchnął przed kosami nieprzyjaciel, pozostawiając, na polu bitwy kilkudziesięciu zabitych i wielu rannych, topiąc konie w bagnistych moczarach.

Wkrótce potem rozdzielił Sierakowski małą swą armię, liczącą już 2 tysiące ludzi, na trzy oddziały. Nad jednym objął sam dowództwo, drugi oddał pod rozkazy Mackiewicza, trzeci — Kołyszki.

Oddziały owe miały zdążać rozmaitymi drogami do miasta Birż, aby tam znowu ze sobą się połączyć.

Oddział Sierakowskiego, nie kryjąc się po lasach, ciągnął śmiało bitymi drogami. Na spotkanie jego wychodziły z wiosek i miasteczek uroczyste procesyje, tłumy ludu. Księża błogosławili powstańców na walkę o wolność, na

śmierć zaszczytną. Wiejska dziatwa sypała im pod nogi zielone gałązki i kwiaty, kobiety ze łzami radości padały przed nimi na kolana, starcy ofiarowywali chleb i sól, zapytując wodza, kiedy powoła całą ludność do broni, aby wroga wypędzić.

Patrząc na siermiężne tłumy, ożywione taką miłością dla ojczyzny, taką gotowością do ofiar i walki, Sierakowski wołał w radośnem uniesieniu: „Ani na chwilę nie wątpię, że lud ten powstanie i podźwignie Polskę!”

Lud wiejski pierwsze miejsce zajmował w sercu wodza. Dla wszystkich żołnierzy miał on zawsze dobre słowo na ustach, zwracając się do nich, mówił „bracie” lub „serce”. Ale kosynierom, między którymi znajdowali się i starsi wiekiem włościanie, okazywał szczególniejszą miłość, szczególniejszy szacunek, a pewnego razu dostrzegłszy w tłumie starca, który płakał z radości na widok zbrojnego polskiego wojska, ukląkł przed zacnym włościaninem, prosząc, aby ten go pobłogosławił spracowaną dłońią.

Wiele dobrych nadziei w sercu, a mądrych pomysłów w głowie miał Sierakowski, wiele potrafiłby zrobić dla ojczyzny, gdyby straszna klęska nie położyła końca jego usiłowaniu.

Niedaleko od miasta Birż, w gęstej pu-

szczy, w pobliżu chaty leśnika otoczyło powstańców wojsko moskiewskie.

Sierakowski uszykował swój oddział do boju, mówiąc z uśmiechem do ulubionych kosynierów: „Na was dziś kolej, żebyście tylko nie oddali strzelców Moskałom“. Kołyszko zagrzewał również swoich, aby mężnie walczyli. Ks. Mackiewicza jeszcze nie było, ciągnął bowiem dalszą drogą.

Świsnęły pierwsze kule w powietrzu, szczęknęły pałasze, z okrzykiem: naprzód wiara! wysuwały się oddziały z gęstego lasu. Zawrzał bój morderczy. Pędzi na nieprzyjaciela Kołyszko, pośpiesza za nim Wiwulski na czele kosynierów. Przerażona Moskwa cofa się do zabudowań leśnika i stamtąd razi strzałami. Mężnie i śmiało biją się powstańcy, ale zmęczeni długim marszem i głodem nie mogą podołać Moskałom, którym przybywają ciągle nowe posiłki z rezerwy.

Walka zabójcza trwała godzin kilka. Noc położyła jej dopiero koniec. Z trupów moskiewskich wzniosły się pagórki, ale i powstańcy ponieśli wielkie straty, a największym nieszczęściem była rana wodza. Kula zgruchotała Sierakowskiemu kość w krzyżach. Nie mógł już dowodzić dłużej powstańcom, zmuszony był ukryć się gdzieś w bezpiecznym miejscu przed nieprzyjacielem, nim się z rany wyleczy.

Przed odjazdem przywołał do siebie po dwóch kosynierów z każdego batalionu, ścisnął ich i całował, dziękując za męstwo, obiecując wkrótce powrócić. Niestety, nie wrócił już nigdy!

Moskale otoczyli w nocy dom, gdzie znajdował się ranny wódz z kilku towarzyszami i wszystkich uwięzili.

Ze spokojem wielkiej duszy przyjął Sierakowski nieszczęście, jakie go spotkało. Moskalom zaś tłumaczył, że ludzie, co giną za wolność, to są „nasiona, z których w przyszłości rozkwitnie biały kwiat“.

Na zapytanie wrogów jakimi siłami myślał walczyć z potężnym carem, odpowiadał dumnie: „We dwa tygodnie miałem dwa tysiące żołnierza, a za dwa miesiące miałbym dziesięć tysięcy litewskiej armii!“

Pełnomocnik carski, okrutny, jak dzikie zwierzę, Murawiew, rządzący podówczas na Litwie, skazał Sierakowskiego i Kołyszkę na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano na Sierakowskim 27. czerwca w Wilnie.

Ks. Mackiewicz długo jeszcze staczał krwawe boje z Moskalami, stawiając bohaterски opór dziesięcioletniej armii. Z oddziału jego zostało w końcu już tylko ośmiu ludzi, on jednak energii nie tracił, broni nie składał. Moskale wzięli w końcu do niewoli mę-

żnego wodza, gdy łódką przepływał rzekę Niemen. Z radością obwozili go, jako jeńca, po wioskach, aby odstraszyć od dalszej walki lud, który wierzył w niego święcie, uważając za niewzyciężonego. Ofiarowywali Moskałe życie ks. Mackiewiczowi, byle tylko zdradził towarzyszy. Z pogardą odrzucił niecną ich pokusę bohater, mówiąc ze spokojem: „Skończyłem moje — wy czyńcie teraz swoje“. Powieszono go w Kowniew drugi dzień Bożego narodzenia.

IX.

GŁOS Z POD SZUBIENICY DO LUDU WIEJSKIEGO.

W innych miejscowościach Litwy na południe od Żmudzi dowodzili oddziałami nie mniej waleczni wodzowie, jak: Traugut, Narbutt, Korewa, Kozięłło, Wróblewski, Wisłouch i wielu innych.

Powstanie na Litwie, w którym lud wiejski czynny brał udział, budziło wielki niepokój w duszy cara, który obawiał się okrutnie wojny ludowej, bo rozumiał, że tylko ona położyć zdoła koniec jego panowaniu w Polsce. Postanowił więc wszystkich sił użyć, aby zgnieść Litwę.

Dla przyprowadzenia do skutku barbarzyńskich zamiarów wybrał car z pomiędzy

nikczemnych swych słuźalców najnikczemniejszego i posłał go, aby kraj cały zniszczył i zgębił. Słuźalcem owym był Murawiew. Pogardzali nim sami Moskale, jako zdrajcą i publicznym złodziejem i z cicha — bo głośno nie śmieli — szemrali na taki wybór. Okrutny Murawiew lubił pić krew i łzy ludzkie, jak tygrys, zakasał też skwapliwie rękawy do szatańskiej roboty. Zapełniał więzienia, wysyłał tysiące na Sybir, wieszał, palił wioski, okazujące życzliwość dla powstańców i zaorywał ziemię, na której stały chaty włościańskie. Po kilku miesiącach takiej gospodarki kraj cały robił wrażenie, jak gdyby przeszła po nim straszna zaraza morowa. Walka zaczęła zwolna ustawać, brakło do niej sił i środków. W ostatnich tygodniach z grona ludzi, którzy Litwę wezwali do boju za wolność, pozostawał już jeden prawie Kalinowski.

Konstanty Kalinowski był synem ubożego szlachcica, który zarabiał pracą rąk na utrzymanie rodziny, trudniąc się tkactwem.

Po skończeniu wyższych szkół czyli uniwersytetu mógł Kalinowski zostać wysokim jakim urzędnikiem, starać się o honory i bogactwa. Ale on postanowił życie swoje, bystry rozum i głęboką naukę poświęcić pracy nad oświatą i podniesieniem wiejskiego ludu.

Postarał się więc o posadę pisarza gmin-

nego, aby mieć ciągłą styczność z włościanami, zamieszkał na wsi w województwie grodzieńskim i wkrótce pozyskał wielkie zaufanie i miłość wśród ludu, który widział w nim szczerego przyjaciela, a mądrego doradcę.

Kalinowski pragnął, aby wszyscy włościanie, a nie tylko ci, którzy z nim rozmawiają, rozumieli swoje krzywdy i to, co się w kraju działo przed powstaniem. Założył więc tajemną drukarnię i zaczął w niej drukować piśmka dla ludu, które nazywał rozmaicie: „Chłopska prawda“, „Rozmowa“, „Listy gospodarza Jaśka z pod Wilna“. Piśmka owe młodzież, należąca do tajnej zмовy, roznosiła po wioskach, odczytywała włościanom. I sam Kalinowski jeździł po kraju, budził nadzieję w ludziach, że potrafią wolność pozyskać, byle wszyscy tego zapragnęli, byle kupy się trzymali, bo gromada to wielki człowiek. Działał ostrożnie, mądrze, przebierał się wedle potrzeby już to za kupca, już za urzędnika lub włościanina i tym sposobem uchodził oka i uwagi Moskali.

Kiedy wybuchło powstanie, Rząd Narodowy mianował Kalinowskiego pełnomocnym komisarzem na całe województwo grodzieńskie. Na stanowisku tem służył Kalinowski gorliwie i pożytecznie ojczyźnie. A gdy Murawiew wszystkich prawie pomordował, sam jeden podtrzy-

mywał sprawę polską. Ufając w energię i rozum, siłę i wytrwałość Kalinowskiego, ludzie mówili: „dopóki on żyje, nie wszystko jeszcze stracone“ — i nazywali go dyktatorem Litwy. Wiedział o tem Murawiew, więc kazał go ścigać dniem i nocą, wysyłał na poszukiwania szpiegów i policyantów, aż pochwycił go w swoje szpony i skazał na szubienicę. Kalinowski szedł na śmierć z odwagą, pamiętając i w ostatniej chwili życia, że wszyscy ludzie powinni być równi, że za równość mieszkańców ziemi naszej wylały się potoki krwi polskiej. Kiedy więc odczytywano mu pod szubienicą wyrok śmierci i nazwano „szlachcicem Konstantym Kalinowskim“, zawołał: „u nas niema szlachty, wszyscy są równi!“ Umarł z wielkim spokojem, bo wiedział, że wzniosłe myśli i uczucia, którym życie poświęcił, nie zginą z nim razem na szubienicy; wiedział, że gorąca młodzież polska dalej tak pracować będzie, jak on pracował, aż zabłyśnie dzień, w którym naprawdę wszyscy będą równi i wolni.

W ostatnich dniach życia, oczekując w ponurym lochu więziennym na męczeńską śmierć, myślał Kalinowski wciąż jeszcze o ludzie wiejskim i napisał do niego długą odezwę, którą sam nazwał „listem z pod szubienicy“.

W liście tym mówi o nieszczęściach, krzyw-

dach, ucisku, jakie lud cierpi pod panowaniem cara i kończy tymi słowy:

„Bracia moi, włościanie mili! z pod szubienicy moskiewskiej piszę do was zapewne po raz ostatni. Bolesnie mi rozstawać się z ziemią, na której urodziłem się i z wami, ukochani włościanie, ale nie żał mi umierać za waszą prawdę.

„Przyjmijcie, bracia, z ufnością moje słowa, bo one są już jakby z tamtego świata, a pisałem je, wasze jedynie dobro mając na względzie.

„Niema, bracia, większego szczęścia na świecie, jak mieć rozum i naukę w głowie. Ale jak noc i dzień nie chodzą w parze, tak nie idzie w parze prawdziwa oświata z niewolą moskiewską. Dopóki ta niewola panować będzie w naszym kraju, dopóty mieć nie będziemy ani prawdy, ani dobrobytu, ani żadnej oświaty, a rządzić nami będą, niby nierozumnem bydłem, nie na korzyść naszą, lecz na zgubę.

Dla tego to, gdy usłyszycie, że bracia wasi z pod Warszawy biją się za prawdę i wolność, nie pozostawajcie bezczynni, ale uchwyciwszy co kto może, kosę lub siekiere, idźcie całą gromadą walczyć za ludzkie i narodowe swe prawa, za swoją wiarę, za swoją ziemię. Z pod szubienicy powiadam wam bowiem, bracia włościanie, że wówczas dopiero zaświta wam szczęście, gdy Moskala nad wami nie będzie“.

X.

DYMEM SPALONYCH CHAT CHMURZĄ SIĘ WISŁY WODY.

Ogromna, dobrze uzbrojona armia moskiewska, licząca koło czterystu tysięcy wojska, nie mogła zdusić powstania w Królestwie Polskiem. Naród polski bez fortec, bez wojska, bez broni prawie walczył mężnie w obronie ojczyzny. Po kilku miesiącach walki liczne jeszcze oddziały uwijały się w rozmaitych województwach. Do boju i zwycięstw wiedli te oddziały mężni wodzowie, jak: Czachowski, Taczanowski, Chmieliński, Wawer, Heydenreich, Mielecki, Blankenheim, Jankowski oraz wielu innych. Z Galicyi i Poznańskiego — pomimo licznych przeszkód — wkraczały zbrojne oddziały na pomoc walczącym braciom.

Długie trwanie i oporność powstania do wściekłości doprowadzały cara. Powiedział on sobie wówczas: popełnię gwałty, jakich świat nie widział, dopuszczę się okrucieństw, nieznanych w innych krajach europejskich, a złamię Polskę. I podobnie jak wpierw już posłał był Murawiewa na Litwę, tak teraz dał zupełną władzę w Królestwie Polskiem Bergowi.

Berg był Niemcem z pochodzenia. Serce jego nie znało ludzkich uczuć, nie wzdrygało się przed największą zbrodnią. Palił miasteczka i wioski, aż „dymem spalonych chat

schmurzyły się Wisły wody“, rabował, strzelał, wieszał.

Berg wspólnie z Murawiewem stracili na szubienicach i rozstrzelali tysiąc pięćset osób, a zesłali na Sybir i zamknęli do więzienia koło stu pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn i kobiet.

Najcięższym ciosem, zadany przez Berga naszej walce było uwięzienie i stracenie pięciu członków ostatniego Rządu Narodowego, na którego czele stał podówczas Romuald Traugut.

W pierwszych miesiącach powstania Traugut staczał na Litwie świetne walki z Moskalami. W pobliżu wsi Horek z garstką powstańców, liczącą zaledwie 120 ludzi rozbił do szczętu dwie kompanie piechoty i pół sotni kozaków. Z porażki, w której Traugut nie stracił ani jednego człowieka, kilkudziesięciu zaledwie żołnierzy moskiewskich zdołało ujść cało, a kapitan ich sam sobie życie odebrał z rozpacz i hańby. W ciągu kilku następnych tygodni stoczył Traugut kilkanaście mniejszych potyczek i trzy większe bitwy, i nieraz jeszcze, jak np. pod wsią Kołodnem, udało mu się szarpnąć zwycięsko nieprzyjaciela.

Na czele Rządu Narodowego stanął Traugut jako dyktator, w połowie października i silną dłoń podtrzymywał chylącą się do upadku sprawę polską. Zaprowadził ład w wojsku powstańczym, podzieliwszy je na korpusy,

dywizye, bataliony; ustanowił po powiatach osobne urzędy, które zajmowały się wyłącznie sprawami, dotyczącymi uwłaszczenia i czuwały nad tem, aby ludu nie wołano nigdzie na pańszczyznę. Do urzędów tych weszli także włościanie. Skoro urzędnicy dowiadawali się o jakim nadużyciu, powoływali winnych przed sąd i mieli prawo ukarać ich śmiercią, jeżeliby się okazało, że ściągali jakie czynsze od ludu lub zmuszali do odrabiania pańszczyzny. Między członkami sądu co najmniej połowę mieli stanowić włościanie. Traugut powoływał, jak widzimy, włościan, do pełnienia obywatelskich powinności, jako wolnych obywateli-ziemian, którzy mają nietylko prawo, lecz i obowiązek brać czynny udział w życiu publicznem.

Śmierć położyła koniec wytrwałej pracy Trauguta. Dnia 5 sierpnia 1864 roku zginął on na szubienicy wraz z czterema innymi członkami Rządu Narodowego. Zarówno Traugut, jak towarzysze okazywali do końca niezwykły spokój, właściwy niepospolitym, wielkim ludziom. Sami przywdziali śmiertelne koszule i zarzucili sobie stryczki na szyję. Jeden z nich pocałował stryczek, który, miał go za chwilę udusić, aby okazać, że z miłością wita męczeństwo za ojczyznę. Traugut konając złożył dłonie i podniósł oczy ku niebu. W położeniu tem pozostawał przez długi jeszcze czas po

śmierci. Tłumy ludu, zalegające plac tracenia, padły na kolana z ogromnym płaczem i jękiem nad śmiercią swych wybrańców. Takiego płaczu, takiego jęku lud nigdy nie zapomina!

XI.

OSTATNIE CHWILE POWSTANIA.

Z uwięzieniem ostatnich członków Rządu Narodowego nie skończyła się jeszcze natychmiast zbrojna nasza walka. W kwietniu, maju, a nawet w końcu czerwca trzymały się oddziały powstańcze na Podlasiu, w Lubelskiem, Krakowskiem, podtrzymywane głównie przez włościan. W Lubelskiem na czele oddziału stał w owych czasach włościanin Flis, a w ziemi Krakowskiej Naczelnik Biernawski wciągnął do organizacyi narodowej w początkach roku 1864. 3 tysiące włościan.

W Krakowskiem i Sandomierskiem staczali w ostatnich miesiącach krwawe, a częstokroć zwycięzkie potyczki i bitwy Zygmunt Chmieński, Rębajło, Bosak.

Józef Bosak wychowany był od lat najmłodszych w moskiewskiej szkole. Przez pewien czas bowiem car, niby drugi Herod, porywał matkom Polkom dzieci i wywoził je do Rosyi, aby tam wzrastały na Moskali, na wro-

gów własnej ojczyzny. Przez długie lata Bosak nie wiedział nawet, że jest Polakiem, nie znał bolesnych dziejów swego narodu, nie rozumiał ojczystego języka.

Car, ceniąc rozum i waleczność Bosaka, otaczał go łaską, osypywał zaszczytami, a w dwudziestym czwartym roku życia awansował go na pułkownika.

Daleko od Polski, nad Czarnem morzem, na Kaukazie znajdował się Bosak, kiedy na ulicach Warszawy popłynęła pierwsza krew...

Zawrzało oburzeniem szlachetne serce Bosaka na wieść o mordach; nie chciał dłużej służyć w wojsku carskiem, które strzelało do bezbronnych, do starców, dzieci, kobiet i podał się do dymisyi.

W końcu września 1863 roku Rząd Narodowy mianował Bosaka głównym dowódcą sił zbrojnych w województwach Krakowskiem i Sandomierskiem.

Od tego czasu generał Bosak walczył mężnie przez pięć miesięcy w obronie długo nieznaney ojczyzny. W mieście Opatowie zaatakował załogę moskiewską, wyparł ją, zabrał kasę, w której znajdowało się 35 tysięcy złp., a żandarmów, którzy nie zdołali uciec, wziął do niewoli.

Świetne zwycięstwo oddniósł Bosak na czele swego oddziału 29 listopada we wsi

Ociesękach. Dzielnie bili się powstańcy podczas tej bitwy, a wódz ich dokazywał cudów waleczności. Dwa konie pod nim ubito, rzucał się bowiem w najsiarczystszy ogień. W bitwie pod Ociesękami Moskale ponieśli trzy razy większe straty w rannych i zabitych, niż Polacy.

Przy końcu stycznia miał już Bosak 4 tysiące żołnierza, a pomimo że wojska moskiewskie okalały go ze wszystkich stron, obchodził uroczyście rocznicę powstania w miasteczku Bodzentynie, zaprosiwszy na ucztę okolicznych włościan, serdecznych swych przyjaciół, dzielnych sprzymierzeńców. „Wszystkie powstańcze magazyny wojenne — opowiada jeden z towarzyszy Bosaka — znajdowały się u włościan; włościanie służyli nam za posłańców i śledzili poruszenia Moskali, aby o nich donosić do naszego obozu“.

Włościanie przychodzili do obozu Bosaka po radę i wyjaśnienia, prosili aby sądził ich sprawy, stosując się posłusznie do jego wyroków, strzegli też z serdeczną życzliwością męznego wodza, który im odpłacał miłością za miłość. Bosak był szczerym demokratą, w ludzie widział potęgę narodu, dla wszystkich pragnął wolności i równości. „Niezgoda i niesprawiedliwość między nami — powiada w jednej ze swych odezw do ludu — była przyczyną ujarznienia ojczyzny naszej. Dla tego

też dzisiaj, kiedy walczymy, aby zrzucić jarzmo, powinna zniknąć nazawsze wśród nas niesprawiedliwość, a z nią zniknie i niezgoda. Nie ma już odtąd nazwy pana i chłopca! Wszyscy bez wyjątku jesteśmy obywatelami kraju. Lecz ażebyś i Ty Ludu, temu nazwisku godnie odpowiedział, darował ci Rząd Narodowy w imieniu całego Narodu ziemię, ojcowiznę twoją, która cię karmi i uwolnił cię na wieki od wszelkich danin i czynszów“.

W innej znowu odezwie do naczelników powiatowych nakazywał Bosak, aby włościan nazywali obywatelami, jak to ustanowił Rząd Narodowy, bo z chwilą, gdyśmy podnieśli oręż do walki o wolność, wszyscy w naszym kraju stali się równymi.

Wściekał się car moskiewski, że jego ulubieniec, wychowany i wypieszczony przez niego Bosak, walczy w obronie Polski i ludu, walczy z carem i despotyzmem. Ze wszystkich więc stron ściągać się zaczęło na Bosaka wojsko moskiewskie, niby stada czarnych kruków.

W bitwie pod Opatowem ponieśli powstańcy klęskę, walcząc z ogromnymi siłami nieprzyjaciela. Poneśli klęskę i na drugi dzień nad Witosławską górą.

W nieszczęśliwych owych bitwach złamała się siła oddziałów Bosaka. Sam on ukrywać się musiał przed tropiącym go nieprzyjacielem,

a widząc w końcu niemożliwość dłuższego pozostawania w kraju schronił się przed Moskwą do Galicyi.

I w ostatniej tej potrzebie dopomogli mu włościanie. „Pomimo że przeprawy przez Wisłę naówczas czujnie wróg pilnował — pisze Bosak — i ostatnie czółna pozabierał, pomimo że hordy jego dzień i noc brzegów strzegły, jednak dziesięciu rodaków: czterech obywateli dworów i sześciu obywateli chat, za zgodną umową zbiwszy z desek czółenka, z największem poświęceniem i narażeniem siebie mnie i kilku towarzyszy przez Wisłę przewieźli. Jakie uczucie wrzało w piersi mojej, gdy ostatni raz kraj nasz żegnałem i ciebie ludu, zostającego w mocy wroga, otoczonego łgarstwem i podstępem, to tylko sercem człek zrozumieć może, lecz słowami wypowiedzieć tego nie zdoła“.

Sprawdziły się słowa Bosaka, że przepływając wówczas Wisłę, po raz ostatni żegnał Polskę: nie mógł już nigdy wrócić do ojczyzny, bo ją deptał wróg. A w kilka lat później zginął mężny wódz powstańców na polu walki, broniąc francuskiej ziemi od Prusaków.

Zakończenie.

Wielkiego serca ludzie, którzy wezwali naród do boju, mieli cel podwójny: uwolnić lud od pańszczyzny i czynszów oraz wypędzić Moskala z naszej ziemi.

Pierwszy cel został osiągnięty. Car, obawiając się wojny ludowej, nie ośmielił się dłużej trzymać włościan w niewoli i w marcu 1864 roku uwłaszczył lud wiejski. Krwią, przełaną na polu bitwy, okupił naród polski ziemię dla włościan. Słusznie więc powiedział Konstanty Kalinowski, że gdyby nie powstanie, kto wie jak długo chodzilibyśmy jeszcze w jarzmie pańszczyzny.

Drugiego celu nie osiągnęliśmy: nie wypędziliśmy wroga z kraju i dla tego lud nasz mniej ma praw i oświaty, niż w krajach niepodległych, nieujarzmionych. A dla czego nie wypędziliśmy wroga? Nie brakło nam męstwa, poświęcenia ani walecznych wodzów, lecz nie mieliśmy swego wojska, a lud wiejski nie powstał do walki w całej swej potędze. Do od-

działów powstańczych szły setki a nawet tysiące włościan, ale nie poszły dziesiątki tysięcy.

W wielu miejscowościach lud nie słyszał nigdy słów prawdy, doznając tylko krzywd i ucisku od dworów. Nikt go nie oświecał przed powstaniem o jego prawach i obowiązkach. Kiedy więc rozpoczęła się walka, włościanie nie wiedzieli, o co się ona toczy, przypatrywali się jej obojętnie. Bywały, niestety, i takie okolice, gdzie włościanie, okłamywani przez popów i agentów moskiewskich, nieufni i nieoświeceni, uważali za wrogów ludzi, którzy ich dobra pragnęli, którzy szli na męki za ich wolność.

Lud, gnębiony przez długie lata, nie powstał cały, nie wyprężył potężnych ramion, aby zerwać pęta i dla tego upadliśmy raz jeszcze. Walka nasza nie poszła jednak na marne: przez ogień mąk i cierpień zdążają narody w blask szczęścia, droga krwi i ofiar wiedzie je do wolności. Wybije wielka owa godzina wolności i dla nas, a wówczas stanie nam nasza Polska wielka i szczęśliwa, potężna i sprawiedliwa!





Biblioteka WSP Kielce



0180134